

NASZE CZASY

OPOWIEŚĆ

PRZEZ

LUDWIKA STRASZEWICZA.



PETERSBURG.

NAKŁADEM „KRAJU”

SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI POLSKIEJ BR. RYMOWICZ

1890

ALISA JANISZEWSKA

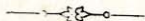
NASZE CZASY.

NASZE CZASY

OPOWIEŚĆ

PRZEZ

LUDWIKA STRASZEWICZA.



PETERSBURG.

NAKŁADEM „KRAJU”

SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI POLSKIEJ BR. RYMOWICZ

1890



265208

Дозволено Цензурою.

С.-Петербургъ, 3 января 1890 года.

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



FUW0136778

Типографія Тренке и Фюсно

Максимилиановскій пер. № 13.

W/244/02p

151

Rodzicom moim zginął wieprz; piękny, odkarmiony wieprz. Matka budowała na nim wielkie nadzieje, gdyż obiecywała sobie sprzedać go na najbliższym jarmarku za jakąś niesłychanie wysoką sumę. Ojciec objechał całą okolicę, szukał, pytał ludzi, ale nigdzie na ślad nawet trafić nie zdołał. Zmartwienie naturalnie było nielada, runęły piękne rachuby, przepadł owoc paroletnich może starań.

Chwycono się ostatniego środka: ojciec zawiózł na mszę do świętego Antoniego Padewskiego, który, jak wiadomo, jest patronem zgubionych rzeczy. Za jedną drogą dał też ojciec na ogłoszenie z ambony po kazaniu.

Msza się odbyła w sobotę, ogłoszenie—w niedzielę, a w poniedziałek wieczorem sły-szy matka kwik pod chlewkiem. Wychodzi... stoi wieprz; wyżej uszu unurzany w błocie

Nasze czasy.

wiosennem, ale jest. Wielkie musiało być w całej wiosce zbudowanie wobec tak wyraźnego cudu, a matka przez wdzięczność postanowiła spodziewane dziecko oddać pod patronat świętego Antoniego Padewskiego.

Na drugi dzień ja się urodziłem, i w następną niedzielę powieźli mnie do chrztu. Matka była najpewniejszą, że wrócę Antkiem. Tymczasem przyjeżdża ojciec, przyjeżdżają i kumowie i nie wiedzą, jak mi na imię. Ksiądz na Antoniego się niez godził, nazwał jakoś inaczej, ale nikt nie pamięta jak. Tylko stary Symeon—który niegdyś był w wojsku, potem po dworach służywał, a za mojej pamięci uczył w zimie dzieci na elementarzu i zażywał w całej wsi wielkiego poważania, przy chrzcie zaś asystował zapewne w charakterze patriarchy wioskowego—twierdził zawsze:

— Czy Troszkuś... czy Proszkuś...

Nie było rady, zostałem Prosiem lub Prośkiem i tylko zupełnemu brakowi dowcipu i pomysłowości w wiosce rodzinnej zawdzięczam, że nigdy dziwnie brzmiącego imienia mego, a przez to i osoby, ani dziewczęta, ani chłopcy nie sprzegli z pamięcią o zgubionym i cudownie znalezionym wieprzku i że go nie zrobili moim patronem.

A działo się to w małej wioszczynie w powiecie łomżyńskim, guberni wówczas augustowskiej, 1853 roku, w marcu.

Należeliśmy, a właściwie ojciec mój pańszczyzną odrabiał niebogatemu obywatelowi, którego majątek składał się z szesnastu chałup naszej wsi i z 30 czy 40 włók gruntu t. z. dworskiego.

Ojciec był to sobie chłop dosyć zamożny, na pańszczyznę posyłał parobków, a w domu chleba i kartofli nie brakowało nigdy.

Jakem był mały—kryjan, jak u nas mówią—pędziłem życie całkiem przyjemne. Latem uganiałem się za krowami i gęsiami z wiejską dziatwą, w koszuli, przepasany krajką, z czupryną skoltunioną od błota. Zimą zaś siedziałem na przypiecku i słuchałem, jak baby, przędąc lub drąc pióra, opowiadały sobie straszne bajki. Później, tom w lecie chodził z końmi na nocleg, a w zimie na naukę do starego Symeona, który zawsze na mój widok kiwał głową, i wysilając nadaremnie pamięć, powtarzał:

— Czy Troszkuś... czy Proszkuś...

Stary Symeon własnej chałupy nie miał, lecz siedział u zięcia w świetolce. W tej świetolce odbyło się moje pierwsze spotkanie z nauką.

Chodziło nas czasem czworo, czasem pięcioro, a raz to się aż ośmioro zebrało. Ciąsnota była wielka. Miałem miejsce w samym kącie za stołem i ledwie się mógł koło

lawy i ściany przecisnąć; nieraz musiałem przełazić pod stołem—to zresztą byłmożesposób najdogodniejszy. Mysłm siedzieli na lawach, a dla starego Symeona stał niedaleko okna stółek drewniany, pomalowany na czerwono, z wysoką poręczą i z wyciętem w niej sercem. W całej wiosce takich stołków było niewiele; u nas w chacie było ich dwa.

Lekcja zaczynała się zaraz, jak tylko przyszedł pierwszy uczeń lub uczenica. Stary Symeon odkładał na bok książkę od nabożeństwa, na której się nieustannie modlił; poprawiał na nosie okulary, osadzone w grubą mosiężną oprawę, a z tyłu głowy związane sznurkiem; brał z okna pęczek różeg i uroczyście umieszczał go na stole przed czerwonym stołkiem; wreszcie z pod poduszki wyciągał dużą chustkę w żółte kwiaty i zaczynał nos wycierać. Wycierał go długo i bardzo głośno. Czasami rozlegało się niby trąbienie na rogu, czasami niby darcie mocnego płótna. Jemu lzy aż w oczach stawały. Po tej operacyi był już zupełnie gotów do lekcyi.

Różga przy lekcyi odgrywała taką mniej więcej rolę, jak świece woskowe przy mszy: praktycznego zastosowania nie miała żadnego, ale potrzebną była dla podniesienia uroczystości, jako zwyczaj, uświęcony tradycją. Przez trzy lata mego uczęszczania do świe-

tolki, stary Symeon brał różgę wtedy tylko, gdy ją z okienka prznosił na stół i ze stołu na okienko. Zapewne jednak w mniemaniu jego lekcyja bez różgi byłaby albo nieważną, albo zgoła nie byłaby lekcyą.

Cała wieś nasza, a więc i świetołka starego Symeona, posiadała dwie tylko «elementy», i to niejednakowe, co naturalnie bardzo utrudniało naukę. Nie było innego sposobu, jak przechodzić abecadło, a potem sylabizowanie wspólnie i głośno. Stary Symeon mówił *A* i my za nim krzyczeliśmy chórem *A*, potem *B* i t. d. Tą samą koleją szły litery małe.

Właściwie byliśmy obowiązani patrzeć wciąż w elementę, ale to stanowiło istotne niepodobieństwo z wielu względów. Najczęściej nie można było głowy wścibić między głowy tyle, a sam stary Symeon wodził nosem po książce. Kartka z abecadła, zaczerniona od użycia, barwą przypominała cholewę, w świetolce zaś było dość ciemno.

Zdarzały się przytem i pokusy. Czasem widać było przez niezamarnięty rożek okienka wróbla z nastroszonymi od zimna piórami, jak siadał na gałązce, osypywał śnieg, przekrzywiał główkę i zdawało się zaglądał do nas. Czasami słońeczko zajrzało wesołe i jasną kratką sunęło po podłodze i po kwie-

cistej koldrze. Nieraz też baby stanęły pod ścianą i wymyślały sobie.

Dokazywania świetółka nie widziała nigdy, a to dzięki temu, że, jak już mówiłem, pomysłowość nie była bynajmniej cechą mieszkańców wioski naszej. Do tego jednak dodać należy, iż ubranie nie pozwalało żadnemu z nas na jakikolwiek większy ruch. Ja na przykład ubrany byłem w buty i koczuch ojcowski, siedziałem tedy między stołem i ścianą jak w kleszczach. Gdy chciałem wstać, musiałem wprzód długo kręcić się na miejscu. W taki sam sposób wyciągały gwoździe ze ściany, naprzód je na wszystkie strony obruszają, a potem szarpiały. Dziewczęta przychodziły obwiązane w duże chusty, z pod których wyglądały czerwone noski i równie czerwone, wiecznie zmarzniete ręce.

Powtarzając godzinami całemi litery, rozglądaliśmy się dokoła, czasami który zdrzemał się. Jeżeli sen nie przychodził, zadzierałem głowę ku belce i tak siedziałem, poruszając powoli nogami, o ile na przeszkodzie nie stawał ciężar butów i miejsce. Myślałem sobie wtedy o różnych rzeczach. Raz łamałem głowę nad tem, czy wróble mają taką świetółkę do nauki i takiego starego Symeona, to znowu usiłowałem zgadnąć, czy graniastej urodzi się byczek czy jałoszka i

czy cielaka będę mógł ciągać za ogon, jak Kostek Dziejmów.

W pierwszym roku przeszliśmy abecadło całe i zaczęliśmy już b... a... ba, c... a... ca...; gdy zaś zrobiło się ciepło, puściły śniegi i trawka zielona wyjrzała z pod ziemi, popędziłem szczęśliwy bydło za las, na pastwisko.

Naturalnie, na świeżem powietrzu, na majowym i lipcowem słońcu kształty i nazwiska liter wywietrzały mi całkowicie z pamięci. To też na przyszły rok rozpoczęliśmy naukę nanowo i doszliśmy akurat do tego samego miejsca, co w roku zeszłym.

Słyszałem nieraz i czytałem, że z życia takiego, na łonie natury, w otoczeniu prostoty, wykrzesać można całe ognisko poezji. Nie widzi mi się. Na dworze—kałuże, w izbie—błoto. Na polach wszystkie zagony jednakie, wszystkie grusze na nich podobne, jednej od drugiej nie odróżni. Lasek nędzny, wszecz i wpoprzek go przebiegnę, a tchu mi nie zbraknie. Znam każde drzewo i każdy sęk i nie nowego spotkać się nie spodziewam...

Horyzont okalały—ze wszech stron bory ciemne, z za nich słońce wstawało, za nie zachodziło. Można było śnić i marzyć, że po za temi borami leżą krainy inne, światy piękniejsze i lepsze, ale mnie to nigdy na

myśl nie przyszło. Widziałem je od urodzenia, codzień znajdowałem je na swoim miejscu, byłem przekonany, że tam być powinny i to mnie zadawałniało.

Żeby u nas jeszcze była bieda, toby może ból głodu wywołał jakie wrażenie. Ale ja głodu nie zaznałem—codzień mleko i okrasa, a w zapust to i wołowe mięso nierzadko.

Byłem już sporym chłopakiem—o wieku swoim wtedy naturalnie pojęcia nie miałem, gdyż o innej rachubie czasu, jak łączenie dni w tygodnie, świtały mi zaledwie jaknaj-niedokładniejsze przypuszczenia,—otóż byłem już sporym chłopakiem, kiedy pewnego razu ni z tego ni z owego zawołał mnie ojciec i kazał się ubrać jak do kościoła. Naciągnąłem tedy portciętą, spencerek, buciaki, wyszarzaną czapczynę; ojciec kazał pożegnać się z matką, wsadził na wóz i, nic nie mówiąc, zawiózł do sąsiedniego miasteczka. Tam udaliśmy się na plebanję do mieszkania księdza wikarego.

Ksiądz wikary musiał być już w porozumieniu z moim ojcem i oczekiwał na nasze przyjście, bo się tylko uśmiechnął, i kiedyśmy go całowali w rękę, zapytał:

— To to ten chłopak?

— A tak, proszę jegomości—odparł mój ojciec, a ja tymczasem, tarmosząc czapkę w garści, rzucałem ukradkowe spojrzenia na

dwie klatki z kanarkami, zawieszone w oknach.

— A no dobrze, to go zostawcie.

Spojrzałem ze zdziwieniem na księdza i na ojca, nie byłem przynajmniej przygotowany do wieści o zmianie miejsca dotychczasowego pobytu. Ksiądz wikary się uśmiechał dobrotliwie i wyciągał rękę, aby mnie pogłodzić po czuprynie. Ojciec był widocznie czemś zakłopotany.

Chwilę trwało milczenie. Wreszcie ojciec postąpił pół kroku naprzód, schylił się ku ręce księdza i niepewnym głosem przemówił:

— Bo to my, proszę jegomości, nie wiemy, jak na niego z chrztu świętego wołać.

— Jakto nie wiecie?

— A bo, proszę jegomości, ksiądz proboszcz to tak jakści ochrzcił, że my całkiem nie pamiętamy. My to go tak nazywamy Prosik.

— A no, to trzeba w metryce zobaczyć—wniósł ksiądz wikary.

— Myby bardzo chcieli, tylko my sami to nie potrafim.

— To już ja zobaczę.

Ojciec pocałował księdza znowu w rękę i mnie szturchnął, więc i ja pocałowałem.

— A tylko kiedy on się urodził?—spytał jeszcze ksiądz wikary.

— A to musi... już z dziesięć lat, czy co? Jak to ta duża wojna była, co tu u nas gwardyja stała.

Ojciec jeszcze raz pocałował księdza wikarego w rękę, mnie zalecił posłuszeństwo dla dobrodzieja i poszedł.

II.

Do dziś nie wiem napewno, czym u jegomości był na nauce czy na służbie. Czyściłem mu buty, sprzątałem pokój, za posyłkami latałem, a on mnie za to wolnym czasem uczył.

Raz przydybał mnie ksiądz wikary poddrzwiami kancelaryi.

— Aha, dobrze—powiada—chodź ze mną.

I wszedł do kancelaryi, a ja za nim. Zastaliśmy organistę, jegomość kazał dać sobie jakieś duże księgi, szukał w jednej, szukał w drugiej, w trzeciej, wreszcie znalazłszy, powiedział mi, jakie mam imię. Zacząłem je sobie w myśli powtarzać, ale wszedł ksiądz proboszcz i dowiedziawszy się o co chodzi, pogłaskał mnie po głowie, patrona mego nazwał wielkim męczennikiem i obiecał, że jak dorosnę, to mi da jego żywot.

Pocałowałem proboszcza w rękę, ale w trakcie tego zgubiłem moje imię.

Ksiądz wikary od dnia tego nazywał mnie Dyskuś.

Bylbym właściwie z miana tego zupełnie zadowolony, gdyby nie pewne wypadki, które budziły podejrzenie, iż w niem tkwi coś szpetnego; a niepokoiło mnie to tem więcej, że zgoła nie wiedział co.

Raz naprzykład przyszło do nas kilku panów na karty. Był pan sekretarz, pan aptekarz i pan rejent. Zasiedli do zielonego stolika, ja nastawiłem samowar na korytarzu, a sam wśliznąłem się do stancyi i, skurczony w kącie, poczynąłem drzemać. Nagle słyszę najwyraźniej, jak jegomość woła:

— Dyskuś—i uderzył nawet pięścią w stół.

Drgnąłem i skoczyłem na równe nogi. Przybiegam przełknięty, stoję tuż koło jegomości, ale ten najmniejszej uwagi na mnie nie zwraca.

Przeczekawszy chwilę, odzywam się ci-chutko:

— Proszę jegomości.

Ksiądz wikary odwrócił ku mnie głowę i zupełnie spokojnie zapytał:

— A co tam?

— Jegomość mnie wołał.

— Nie wołałem. Postaraj się, żeby herbata była prędzej.

Nie zdążyłem drzwi za sobą zamknąć, pan rejent krzyczy:

— Dysk...!

Wracam... Znowu nikt na mnie nie czeka, nikt uwagi nie zwraca.

Jałem nasłuchiwać, panowie kilka razy jeszcze powtórzyli wyraz zupełnie podobny do mego imienia, bo *dyska!*

Najwięcej zaś martwiły mnie urągania chłopców, którzy zawsze mi dowodzili, że to bardzo śmiesznie nazywać się Dyskuś.

Skoro tylko dojrzał mnie jaki na ulicy, wołał zaraz:

— Dyskuś, o! Dyskuś!

Ponieważ zaś byłem raz świadkiem, jak ludzie pędzili przez rynek oberwańca i krzyczeli zupełnie w ten sam sposób: złodziej, o! złodziej!— więc było mi niezartem markotno.

Okoliczność ta nie przeszkodziła jednak wcale wejść z temiż chłopcami w zażyłe związki przyjaźni. Co prawda, wciąż wydziwiali oni z wiejskiej niezgraboty mojej, i chociaż wogóle traktowali mnie całkiem po koleżeńsku, dopuszczali do gry w guziki, do wycieczek na wypust, gdzieśmy kartofle piekli, do przejazdów łódką i t. d.,—to jednak nieraz bywałem ofiarą ich dobrego humoru i dowcipu.

Z pomiędzy tych towarzyszków żywo stają mi w pamięci dwa okazy. Jeden, młodszy

odemnie, mały, krępy, nieznanego ojca, nazywany od imienia matki Heleniukiem, a przez nas ochrzczony, nie wiem dla czego, Kadłubkiem; przezwisko to zresztą wybornie pasowało do niego. W zakrystyi i na łobuzerce odgrywał on zawsze rolę podrzędną, bo był spokojnego, a może właściwie leniwego temperamentu, ale potrafił czerwienić się na zawołanie. Dawało mu się grosz, albo kawałek lubryki i mówiło się:

— No, Kadłubek, pokaż.

I szeroka twarz poczciwego Kadłubka w jednej chwili oblekała się pąsem.

Drugi, zwany powszechnie policyanciukiem, był już może 15-letnim wyrostkiem. W zakrystyi po organiście i po Wasilewskim, który chociaż świece zapalał, ale ceniony był za swoją wysoką naukę, o wiele przewyższającą potrzeby dziada kościelnego (pamiętam, podpisywał się z bardzo zawiłym zakreślasem), otóż po tych dwu dygnitarzach zakrystyjnych policyanciuk był niewątpliwie pierwszą osobą. On na sumie służył do mszału, on podczas wystawienia księdzu trybularz podawał, on na procesyach krzyż nosił, a nieraz, jak się dziady gdzie zawieruszyły, to księdza do mszy ubrał i zasygnował.

Był bardzo chudy, nosił niesłychanie brudne koszule, szpencerki zaplamione, zatłusz-

czone, z dziurami i łachmanami na łokciach. Z pod nogawek wiecznie mu wyglądały uszy od kamaszów, bardzo ozdobnych ale zarazem bardzo dużych, gdyż je dodzierał zawsze po panu sekretarzu, u którego był na posługach. Rękawy ledwie mu sięgały po łokcie. Szczególnie wyglądał na ulicy. Przebierał nogami powoli, ale stawiał duże kroki, wysuwając daleko przed siebie zadarte nosy olbrzymich kamaszów. Szyję wyciągał naprzód; duży, ostro zarysowany nos podnosił nieco do góry; oczy przymrużał i wodził nimi szybko na wsze strony — miał minę jakby nieustannie coś wypatrywał. Ponieważ widziałem nieraz, jak po za kościołem, a czasem i w kościele za wielkim ołtarzem walił w kark co wlażło którego z młodszych a względem niego zawsze pokornych towarzyszków, pochyliwszy nad ofiarą wyciągniętą naprzód głowę, więc mi się wydawało, że on wiecznie szuka kogoś do bicia i w tej oto chwili podniesie swoją długą, kościstą, kabłąkowatą wygiętą łapę, obciśniętą w krótki rękaw.

W wiejskiej naiwności mojej przypuszczałem, że ten silny policyanciuk w mieście całkiem odgrywa niemłą rolę i zajmuje wpływową pozycję. Niezmiernie się też zdziwiłem, gdy przyszedłszy raz do magistratu prosić panów na karty, usłyszałem, jak pan se-

kreতারz, nie dobierając bynajmniej słów, ła-
jał policyanciuka i powtarzał nieustannie:

— Ja ci lotrze każę sypnąć z pięćdziesiąt
kijów, zobaczysz!

Zuchwały nasz pogromca usiłował tłóma-
czyć się załośliwie i nieśmiało; kilkakrotnie
przytem próbował ucałować na przeżłaganie
rękę surowego zwierzchnika, ale ta odrzucała
go gniewnie.

Policyanciuk był znakomitym gołębiarzem.
Nikt w całym mieście nie potrafił tak głoś-
no świstać. Nieraz, bywało, wyjdę na kory-
tarz przed celę i słyszę jak on na placu, za
sądem, świstem komenderuje gołębiami.

Mnie bardzo dokuczał i często brał za
przedmiot do popisu z dowcipem przed in-
nymi chłopcami, znajdował w tem widocz-
ne upodobanie. Nie mogłem się przytem z nim
nigdy dogadać, chyba że namawiał do jakie-
goś zbytku, a te się zawsze dla mnie smut-
nie kończyły.

Mówi naprzykład do mnie:

— Pyskuś — tego przezwisk nie trzeba
było uczyć — powiedz *szpilka*.

Ja, nie domyślając się nic złego, z pew-
nem zdziwieniem mówię:

— Szpilka.

— No, to pocałuj w ogon wilka.

W ten sposób robił mi mnóstwo ubliża-

jących propozycji co do psów, cielaków, sta-
rej baby i tak dalej.

W rękach był odemnie kawał silniejszy,
a na języki żaden chłopak nie mógł mu dać
rady. Cokolwiek było powiedzieć, on odpo-
wiedział *przypowiadką* — jak tam nazywali —
z rymem do ostatniego słowa. Każda przypo-
wiadka zawierała szpetną propozycję. W ten
sposób ośmieszał mnie i innych. Co prawda,
przypowiadki nie były jego wymysłem i
wszyscy w mieście starsi i młodszy doskonale
je umieli, ale nikt tak szybko nie przypo-
minal ich sobie w razie potrzeby jak poli-
cyanciuk, a przytem potrafił on coś i sam
zmienić i dosztukować, zawsze w tym sa-
mym propozycyjnym duchu.

Nauczony wielokrotnem smutnem doświad-
czeniem, byłbym się z nim wcale nie wda-
wał, gdyby nie to, że potrafił mnie zawsze
pochlebić i ująć łaskawem słowem, szcze-
gólniej zaś czułem się dumnym i szczęśli-
wym, gdy mnie wezwał na uczestnika do
jakiejsz wycieczki lub przedsięwzięcia.

Raz przez niego poplamilem jegomości
browjarze z haftowanymi zakładkami, pochla-
pałem figurki i nowiutką śliczną serwetkę
od pani kanceliściny, gdyż on mnie upew-
niał, że nie zdołam nigdy trafić jajkiem w po-
koju w okno. Ale to jeszcze mniejsza, jego-

Nasze czasy.



mość kazał godzinę krzyżem w kościele leżeć i skończyło się.

W jakieś święto po nieszpórach ksiądz wikary pojechał gdzieś w okolicę na wieczór, a nas gromadka wybrała się do zamczyska, o półtóry wiorsty od miasta. Minęliśmy już wiatraki, gdy z za górki pokazała się na szosie fura żydowska.

— Słuchaj Pyskuś—odzywa się policyanciuk — potrafiłbyś ty żydów na furze porachować?

Uczyłem się już piątej regułki w tabliczce mnożenia, mówię więc:

— Oj-oj!

— No, załóż się.

— Ale ty mnie oszukasz.

— Głupiś, masz przecie świadków.

— No, a co ty mnie dasz?

— Ja tobie dam tamten obrazek z Twardowskim, a ty mnie czapkę agrestu z księżego ogrodu.

— No, dobrze.

Fura nadjechała, chłopcy pozostali na bocznej ścieżce o parę staj drogi, a my z policyanciukiem stanęliśmy za topolą na szosie.

Zaczynam liczyć:

— Raz, dwa, trzy...

Żydzi w krzyk.

— Ty parchu, porachuj swoje zęby!

Naliczyłem piętnastu, a policyanciuk mówi:

— Widzisz, nie dasz rady, bo ich jest siedmnastu.

Zbity z tropu, zaczynam nanowo z większą uwagą. Nie dociągnąłem jeszcze do dzieśnięciu, aż jeden z żydów wyskoczył z wozu. Policyanciuk w tej chwili począł umykać przez pole. Ja za nim, ale nie zdążyłem rowu przebyć, gdy mnie żyd pochwycił za kark.

— Ty łapserdak, ty szelma — wołał.

Porwał mnie za uszy — poczułem w nich w tej chwili ogień; potem obie garście zapuścił we włosy — w oczach mi zamigotało świec tysiące i zaraz pociemniało nagle. Żyd wciąż wymyślał. Ja wilem się z bólu i jęczałem, usiłując się wyrwać. Wkrótce jednak przekonałem się, iż to są daremne usiłowania: kości trzeszczały, gdzie mnie chwycił olbrzymią łapą. Zdawało mi się, że na włosach koniec będzie. Niestety, był to tylko wstęp.

Widocznie żyd się rozpalili, już nie kłął, nie wymyślał, ale wrzeszczał nadludzkim głosem. Tłukł mnie po głowie, po twarzy, piersiach, brzuchu — wszędzie. Gdyby kto słyszał zdaleka, myślałby, że to ja żyda ze skóry obdzieram, tak krzyczał, jęczał i zawodził nawet, jakby się nademną litował. A było się nad czym litować. Coś okropnego! Żyd walił, jak nieprzytomny.

Jeszcze raz próbowałem mu się wymknąć, ale tylko podniosłem jego zapamiętałość.

Byłem pewny, że to się nie skończy i że ducha wyzionę. Ale przypadł drugi żyd, zdaje się z tej samej fury, i jał coś gniewnie przekładać. Wtedy pierwszy uderzył mnie raz jeszcze w głowę, zaklął, plunął i zwrócił się ku furze.

Upadłem na ziemię, usłyszałem jeszcze, jak drugi żyd, pochyliwszy się nademną, krzyknął:

— Czekaj ty, ulicznik, powiem ja księdzu. I zemdląłem.

Gdym się ocknął, Kadłubek lał mi na głowę wodę z czapki. Pomimo szalonego bólu na całym ciele, widziałem, że wszyscy chłopcy są bardzo przerażeni. Ubranie było podarte i wisiało w łachmanach. Na jedno oko nie widziałem nic, na drugie wciąż mi krew napływała. Gdzieś się dotknął do głowy, wszędzie czułem ból i guzy.

Nie mogłem iść, nie mogłem ustać. Chłopcy zrobili z rąk krzesło królewskie i nieśli mnie po dwu aż do miasta. W mieście zebrałem wszystkie siły i podtrzymywany przez towarzyszy, dowlókłem się do celi i do mego posłania.

Wszyscy odeszli, policyanciuk został chwilę i rzekł do mnie z groźbą w głosie:

— Widzisz głupi, będziesz miał na dru-

gi raz naukę. A przyznaj się księdzu wikaremu gdzieś był i żeś żydów rachował, to on ci dobrze dołoży.

Jegomość, jak przyjechał, przeląkł się strasznie, posłał zaraz po doktora. Przeszło tydzień leżałem w łóżku. Ksiądz wikary byłby może dochodził i żyda pociągnął do odpowiedzialności, ale ja, pomnąc na groźną przestrogę policyanciuka, skomponowałem jakąś niedorzeczną historię o upadku z drzewa.

Potem już nigdy nie poszedłem do księdza wikarego do spowiedzi, bojąc się, aby mnie przy konfesjonale nie zapytał o przyczynę wypadku.

* * *

Zwykle całe ranki spędzałem w zakrytych, a w niedziele i w święta to i dnie całe. W niedługim czasie nauczyłem się służyć do mszy, to znaczy, że wiedziałem kiedy podać ampulki, kiedy mszał przenieść, ile razy machnąć na *Sanctus*, ile na podniesienie; a prócz tego potrafiłem trzepać niezrozumiałe dla mnie dźwięki, które miały być ministranturą, a w istocie były zbiorem dziwolągów, nie należących do żadnego na świecie języka. Brałem bardzo czynny udział we wszystkich ceremonjach, bądź nosząc kociołek z wodą, bądź podając kadzidło, albo nawet, co

było największą godnością, trzymając trybularz.

Dzięki tylko takiemu stanowisku w zakrystyi, nie jest dziś dla mnie tajemnicą szczególny wypadek z imieniem. Niejednokrotnie byłem świadkiem takiej sceny: rodzice przynoszą dziecko do chrztu i pragną mieć Piotra, Jana lub Michalinę, a ksiądz proboszcz jak nie krzyknie:

— Myślicie, ciemni ludzie, że między świętymi pańskimi można przebierać, jak żyd w becze śledzi? Jakie kapłan postanowi, takie mieć będzie. To chłopiec czy dziewczyna?

— Dziewczyna.

I zaraz potem ksiądz proboszcz, przybierając nosowy dźwięk głosu, jakim zwykle kazanie mówił i na procesjach intonował, pytał uroczyście:

— Wenefrydo, czego żądasz od Kościoła Bózego?

W ten sposób mnożyła się liczba biedaków, dzielących ze mną przykrą pozycję nieznamości imienia własnego. Ksiądz proboszcz był nieprzebrany w pomysłach, o uszy mi się obila wielka rozmaitość imion, o jakich później nigdy nie słyszałem.

Nie wiem ostatecznie, gdzie mi było lepiej: na wsi, czy w mieście? tam swoboda większa, tu wygodniej i jadło lepsze. Jego-

mość nieraz z rewerendy wyciągnął ciastko jakieś i jabłko i cukierek. Wogóle dobry był, robotą mnie nie obarczał i bawić się nie zabraniał.

Zachęcany przez linję i posty, w ciągu lat dwu nauczyłem się nieźle czytać i pisać, potrafiłem bez namysłu wyrecytować odpowiedź na wszystkie pytania ze wszystkich rozdziałów katechizmu ks. Putiatyckiego, od biedy mogłem zrobić wszystkie cztery działania, a także odmieniałem pięć deklinacji łacińskich i słowo *sum*, nie rozumiejąc naturalnie nic i niedomyślając się wcale, co to jest i do czego służyć może.

Byłem tedy już dosyć mądry, aby iść do gimnazjum. To też na Matkę Boską Zielną powiódł mnie ojciec do Łomży do egzaminu.

Teraz z metryki dowiedziałem się, że noszę imię świętego Dyoskora, męczennika.

Egzamin był wtedy jeszcze łatwy, więc go zdałem. Ojciec wynajął stancję w połowie za gotówkę, w połowie za prowiant, dostarczany w naturze, nakazał posłuszeństwo i pilność, abym mógł księdzem zostać, i odjechał.

III.

Siedm lat byłem w gimnazjum i wyszedłem z patentem, gdyż miałem dobrą pamięć i potrafiłem «kuć».

Mógłbym opowiadać dzień cały o mistrzach moich i jeszczebym do środka nie doszedł, a słuchacze rozstrzygnąćby nie potrafili, którzy z nich był śmieszniejszy. Za najważniejszą czynność uważali oni naturalnie zadawanie lekcji i wypełnianie nieśmiertelnych katalożków stopniami.

Najbardziej charakterystyczny wypadek zdarzył się zaraz na samym początku.

Wprowadzono świeżo nowy podręcznik do nauk przyrodniczych, niewielką książeczkę z ilustracyami. Nauczyciel na pierwszej «godzinie» zadał nam kawał wstępu; nie wiem ile tego było, gdyż cała lekcja składała się z niewielkich wrywków lub zdań pojedyn-

czych, wybranych z wielu stronic—resztę mieliśmy wykreślić. Na drugiej godzinie zadał półtorej stronicy o zwierzętach kregowych.

O zoologii nigdy przedtem, jako żywo, nie słyszałem, teraz nikt mi nie wytłómaczył co to jest. Treść więc lekcji była dla mnie czemś tajemniczem, nieznanem, samo brzmienie zaś niedostępnem, jak ministrantura.

Kiedym w domu otworzył książkę, przeraził mnie ogrom lekcji, z którą nie wiedziałem co robić. Bałem się zapytać i bałem się płakać, połykałem łzy, a za serce chwycił mnie żal wielki. Czułem się nieszczęśliwym i opuszczonym; z rozrzewnieniem przypominałem sobie noclegi i bajki wioskowe, księdza wikarego i chłopców grających w guziki. Tam byłem swobodny i spokojny. Tu przedemną nauka jak las, groźna, ciemna, niedostępna. Kiedy ja ją przebędę i co mnie czeka jeśli się nie nauczę?

Nie było jednak ratunku, zabrałem się i wykulem całą lekcję jak ministranturę. Ale o ile ona była dłuższą i od *Confiteor* i od *Misereatur*! A przytem rozumiałem, że tu mrużeniem i wykrzykiwaniem *mea culpa* wykręcić się nie będzie można.

Akurat zostałem «wyrwany». Stałem po raz pierwszy pod katedrą, wary biły mi do głowy.

— Nu—usłyszałem sygnał z ust mistrza. Zacząłem recytować.

Z początku mówiłem nieśmiało i z obawą, ale im dalej tem więcej przybywało mi odwagi i głos stawał się pewniejszym. Nie pamiętam dziś już słów, ale to brzmieć musiało: tratata, tratata, tratata... pędziłem jak strzała i, doszedłszy do końca, stanąłem.

Nauczyciel był widocznie zachwycony moją wiedzą zoologiczną.

— Jak twoje nazwisko?—zapytał.

— Baćkiel.

— Doskonale, na miejsce.

Wszyscy w klasie widzieli, jak mi postawił trójkę, która wtedy była najwyższym stopniem.

Tenże nauczyciel dawał geografji i naturalnie trzymał się tej samej metody, co przy zoologii. Jedyna różnica polegała na tem, że tu autor książki nazywał się inaczej, a zamiast obrazków były mapy. Nie było rady, kułem i geografję; również zyskałem pochwałę i trójkę, co mi pozyskało sławę doskonałego, najlepszego w klasie przyrodnika i geografę i było jedną z przyczyn, chociaż zresztą drugorzędną, żem z nauk przyrodniczych mniej jeszcze skorzystał niż z innych przedmiotów. Z zoologii wiem tyle tylko, ile pamięć moja odtworzyć zdoła z owej drugiej lekcyi, co zaś się mówiło w botanice i mi-

neralogji, nie mam najlżejszego wyobrażenia. Pamiętam tylko obrazki, które w mojej książce wszystkie pokolorowałem, dając koniowi barwę niebieską, a brylantowi purpurową.

Ale ostatecznie dostałem zawsze trójkę, wszyscy mnie chwalili, miałem więc zupełne prawo być z siebie całkowicie zadowolonym.

Ponieważ już w drugiej klasie podręcznik do geografji został zmieniony, więc do dziś nie wiem, jaką to lekcję tak świetnie wydałem, że mi otworzyła drogę do przyszłych laurów. Pamiętam tylko, że powtarzał się tam często wyraz «słoj», co mi nasuwało obraz szafki księdza wikarego, a w niej mnóstwa słoików z konfiturami, nadsyłanemi przez pobożne parafjanki. Do wyjaśnienia pojęć geograficznych przyczyniło się to zapewne niewiele, ale za to uczyniło wspomnienie tej nauki słodkiem nazawsze: do dziś wyraz geografja odrazu stawia mi przed oczy stancję, księdza wikarego, szafkę, słoiki i konfitury.

Tak jak z zoologją i geografją, działo się i z innemi przedmiotami. Każda nauka była jakąś mgławicą, światem o niedostępnem dla nas wnętrzu. Uczyliśmy się i nauczyliśmy się dobrze jednej rzeczy: wyprowadzać zdziwiających pedagogów w pole i szybko wyszukiwać wykrety w trudnych pozycjach. Po kilku miewaliśmy jeden kajet ze zmienną

okładką. Potrafiliśmy wmawiać w belfrów, że powinni zadawać jako nowe lekye to, co już było przedtem wiele razy. Nabraliśmy ogromnej wprawy w manipulowanie mechaniczne dźwiękami, w odczytywanie tłómaczeń z kartki a deklamacyi z książki. Sztuka podpowiadania doprowadzoną została do szczytu doskonałości. Ostatecznym celem starzeń, pomysłów, wprawy wszelkiej—był sto-pień.

Nikt z nas nie podejrzewał, że Horacy lub Homer mogą mieć inne znaczenie niż podręcznik zoologiczny i że nie są wynalazkiem specjalnym ku udręczeniu biednego ucznia. W klasach wyższych zresztą wiedzieliśmy dobrze, że te tłómaczenia wprost nigdy nam potrzebne nie będą. Nikomu zaś do głowy nie przyszło, że z nauki można jeszcze jakąś korzyść osiągnąć prócz dostawiania promocyi, a w końcu patentu.

Tak spełniała szkoła swój obowiązek względem umysłu. Moralność i obyczaje posiadały organ specjalny, na który inspektor i nauczyciele składali całe brzemie zadania. Każda stancya opatrzoną była w dozorcę, t. j. ucznia z klasy 5, 6 lub 7 i na tym leżał ciężar wychowywania, lub przynajmniej czuwania nad młodszymi kolegami po za szkołą. On odpowiadał za pilność, on winien był wypleniał złe nałogi i wybryki.

Przez pierwsze dwa lata stancya nasza za dozorcę miała wielkiego huncwota. Używał nas do posylek, kazał sobie buty czyścić i tłukł przy każdej sposobności. Zamiast pomagać w naukach, wysłuchiwał nas tylko, za omyłki bił łapy szeroką linją, co strasznie bolało, a czasami nawet dał w skórę na stolku. I to mu jednak było ciężarem. Połowę wieczorów w tygodniu przegrywał na łóżku w karty z kolegami.

Później gospodyni postarała się o dozorcę znacznie lepszego. Był nim syn urzędnika z naszego miasteczka. Pamiętał mnie i jako dla sąsiada miał szczególne względy. Bił nas mało, posługiwał się wyjątkowo, w karty grywał znacznie rzadziej. Sam uczył się nie-dużo, ale wiele książek czytywał, o co znowu gderała gospodyni, gdy go nie było. Próbowaliśmy nas «rozwijać», jak mówił. Zgromadzał więc wszystkich wieczorem koło stołu, czytał, opowiadał i t. d. Nie zdołał jednak nigdy nas zająć. Przez respekt dla osoby i stanowiska dozorczy zachowywaliśmy się przy-zwoicie, najwyżej jeden drugiego pod stołem nogą kopnął lub posłał pocztą dokoła szturchańca w bok, bezporównania jednak bardziej wolelibyśmy byli grać sobie w «Aseklą szuka złodzieja» lub w «Bierki».

Gdy wyszedł, tośmy się bawili *w niego*: jeden siadał na dozorcowskim miejscu, a my

dokoła z zabawnie poważnemi minami. Uda-
jący dozorcę usiłował czytać i mówić jak-
największe głupstwa, gestykulując i naśla-
dując głos naszego zwierzchnika stancyjnego.

Na korepetycyach początkowo starał się
nam wszystko tłumaczyć, wyjaśniać i t. d.
i to mu nawet nieźle szło, ale gorliwość sła-
bla i później to już tak młócił niedbale, jakby
był parobkiem mojego ojca i pańszczyznę
odrabiał.

IV.

Na Boże Narodzenie, na Wielkanoc, na
wakacje—jeździłem do domu.

W pierwsze dni po przyjeździe otaczany
byłem zwykle niejakiem poważaniem, a świe-
cące guziki munduru budziły szacunek. Wkrót-
ce jednak wołano mnie do najzwyczajniej-
szych robót, nie wyłączając kłopotliwego za-
pędzania cieląt. Przez pierwsze dwa lata
nie skarżyłem się na to, owszem podobało
mi się przypomnienie dawnych zajęć i bie-
ganina z rówieśnikami. Gdym jednak doszedł
już do klasy trzeciej, podobnie nizkie zatrud-
nienie uważałem sobie za ujmę.

I coraz to nudniej mi było w rodziciel-
skim domu. Tak naprawdę, to nic mnie doń
nie ciągnęło, i jeśli w sercu tkwiło jakie
uczucie dla ojca i matki, to chyba w stanie
zupełnej nieświadomości. Oschłe życie w cia-

snej i brudnej chałupie wcale nie sprzyja rozwojowi uczuć. Szorstkie od ciężkiej pracy ręce nie są zdolne do pieszczot. Nikt sam miłości swojej nie okazuje, nikt też jej wywołać nie może.

Niechętnie jechałem do domu, a z pewną radością wracałem do szkoły. We wsi włożyłem się z kąta w kąt, a w niedzielę w karczmie tam się tylko nazłościł. Uważałem się za coś wyższego od całej publiki, tymczasem rozgrzana wódka fantazyja tłumu poniżała mnie zawsze. Parobczaki wiejskie o wiele lepiej umieli wywijać polki i ober-tasy, to też dziewczęta nie lgnęły do mnie pomimo guzików i galonu.

Ojciec pytał ciągle, kiedy pójdę do seminarium. Miałem tam iść, wedle pierwotnego planu, po skończeniu 4 klasy, więc już od następujących wakacyj; tymczasem, przyjechawszy na Boże Narodzenie, zakochałem się. Liczyłem już wtedy lat 16.

Jeden z sąsiadów naszych miał córkę, niebrzydką nawet dziewczynę; nazywała się Balbina. Żeby to choć była Marysia, Hanka, ale Balbina... Bal...bi...na!

Miejskie lub dworskie podlotki można sobie w wyobraźni przynajmniej upoetyzować, moja Balbina nie posiadała najmniejszych kwalifikacyj na ideał. Postać jej należała do tego rodzaju, co to się najlepiej określa wy-

razem *kloc*. Była gruba, osadzista, z wiecz-nie wyszmalcowanymi włosami. Gdybym koniecz-nie chciał do jej wspomnienia przypiąć jakiś obraz poetyczny, musiałbym chyba przyrównać do zorzy porannej kolor grubych jej nóg, kiedy zakasawszy spódnice, biegła rzeżko po śniegu, rzucając zalotne spojrzenia w stronę naszej chałupy.

Jakiś czas służyła we dworze, wskutek czego nosiła zawsze perkalikowe spódnice i miała się za coś lepszego od reszty rzeszy wioskowej. Jednocześnie czuła się zapoznaną i krzywdzoną przez otoczenie, zaczęła więc szukać mego towarzystwa, domyślając się zapewne duszy bratniej, równie cierpiącej od twardych dotknięć gminu chłopskiego.

Otóż pewnego, nie pamiętam pięknego czy brzydkiego wieczoru, w święta zostałem sromotnie dotknięty przez lekceważenie moich wioskowych braci i sióstr. Pomimo, że przedtem wychyliłem już był parę półkwaterek, uznałem, że niewypada mnie, czwartoklasiście, dobijać się przemocą o uznanie, a tem-bardziej o względy takich prostaków, i wyszedłem.

Jeszcze nie zdążyłem w sieni namacać rączki od rygla, kiedy skrzypnęły drzwi i w mgławem świetle, przedzierającym się z izby, ujrzałem Balbinę, z twarzą zaczerwienioną od tańca i kieliszków.

— Pan Proś ucieka?—spytała, zbliżając się ku mnie.

— Idę, nie mam co tu robić — odrzekłem.

— Tak, ja wiem, ja też...

Nie potrafiłbym teraz powiedzieć, z kądem mi to przyszło do głowy, dosyć, że dziewczuchę chwycił w pól i pocałował raz i drugi; za trzecim razem ona mi całusa zwróciła. Potem ktoś wszedł do sieni, ja odskoczyłem i poszedłem spać do domu, a Balbina... nie wiem co zrobiła, ale zapewne wróciła do karczmy i hasała z parobczakami do białego dnia.

Potem spotykałem ją wszędzie: przy studni, przy oborze, w karczmie i zawsze z wytrwałą stałością chwytalem ją w pól i całowałem. Ona równie wytrwale powtarzała:

— Panie Proś, jak kto zobaczy.

I coraz to sówiciej odpłacała mi całusami.

Minęły święta, musiałem wracać do szkoły. Nie wywoziłem w sercu jeszcze nic, nie pamiętam nawet, czym dopełnił uroczystego obrządku pożegnania. Dopiero w Łomży, borykając się z trudnościami greckiej gramatyki i zadań algebraicznych, często przypominałem sobie całusy woskowe, robiło mi się jakoś rzewnie i błogo. I kiedym na Wielkanoc jechał do domu, to już nieustannie pieściłem się z myślami i snulem projekty,

jak to ja znowu zobaczę Balbinę, jak ją uchwycę w pól i pocałuję, i będę często i dużo całował.

Teraz nie poszło mi jednak tak dobrze, jak na Boże Narodzenie. Dziewucha miała mniej czasu, zaczynały się roboty w polu, a przytem zdaje mi się, że żywiła jakieś nadzieje co do połączenia się z którymś z parobków węzłami trwalszemi, niż pocałunki przelotne na dorwanego. Zdybywałem ją jednak często.

Na wyjeździe ojciec, dając mi rękę do pocałowania, oznajmił:

— No, Prosik, to już ostatni razik jedziesz, a potem do seminaryum.

Siadłem na wóz i myślałem sobie:

— Do seminaryum?... A Balbina?

I owo seminaryum po raz pierwszy przejęło mnie zgrozą.

— Co ja tam będę robił?

Nigdy pobożny bardzo nie byłem i księża sukienka nie nęciła mnie wielce. Przemknęła mi przez głowę myśl, żeby się oprzeć woli ojca. Nie było to łatwem. Znałem chłopski upór ojca, wiedziałem, że trzeba będzie przebyć przykrą burzę, a tej się bałem.

Cały kwartał medytowałem i nie wynaleźć nie byłem w stanie. Radzić się jednych nie chciałem, innych nie śmiałem. Zresztą, kto tu co mógł poradzić.

Już tylko parę dni brakowało do wyjazdu, promocję do klasy V dostałem, czekałem tylko na cenzurę. Korepetytora w tym roku już nie miałem, a dozorcą na stancyi był ten sam dobry chłopiec z naszego miasteczka.

— Cóż ty, Dyoskorze—zagabnął mnie—będziesz teraz robić? Pójdiesz do seminarium?

— Nie wiem, ojciec to chce do seminarium.

— Hm... imię masz akurat na księdza, ale tak, toby cię szkoda było, jesteś dosyć rozwinięty.

Stałem ze spuszczoną głową, milczący; odraza i nienawiść do seminarium wzrastała we mnie z każdą godziną.

— A ochotę masz na księdza?

— Nie — wybąknąłem tak cicho, że aż musiał powtórzyć pytanie.

— To gadaj ojcu, niech cię w szkołach zostawi.

— Nie zechce.

— Poproś.

Zamiast odpowiedzi pokręciłem głową.

— To czekaj, ja go sam poproszę.

Byłbym chętnie po rękach całował dobroczyńcę, ale wiedziałem, że na to nie pozwoli, podniosłem więc tylko nań wzrok, pełen zachwyty i radości. Byłem najpewniejszy, że

sprawa załatwiona i ani przypuszczałem, aby ojciec zechciał opierać się przedstawieniom ukończonego siedmioklasisty. Zupełnie tedy spokojny i szczęśliwy pojechałem do domu.

Skorzystałem z pierwszego spotkania, aby wznowić schadzki z Balbiną. Była dla mnie łaskawszą niż kiedykolwiek. Ona chodziła na jagody, na grzyby, ja zawsze gdzieś ją nadybywałem i byliśmy szczęśliwi na łonie zielonej natury.

Zapomniałem i o szkołach i o seminarium. Aż tu raz ojciec wrócił od roboty zły, siadł za stół, podparł się rękoma i siedział; zapomniał nawet sobie chleba przygotować i łyżki wziąć. Ja byłem zajęty suszeniem obuwia przy kominie.

— Cóż ty, Prosik, sobie myślisz? — zapytał głosem wcale nie przyjaznym.

Ciarki przeszły mi po skórze, starałem się jednak nie stracić fantazyi i z miną zupełnie—tak mi się przynajmniej zdawało — pewną siebie odpałem:

— Abo co?

— O seminarium już nie dumasz nawet. Tak się na świętego kapłana szykujesz? Cały dzień za Balbiną się uganiaasz, aż boska obraza i ludzki styd.

Stałem jak pąs i nie wiedziałem, co powiedzieć.

Ojciec ciągnął dalej gniewnie:

— Ja się cały dzień narobię jak wół, wieczorem krzyżów odgiąć nie można, a ty nawet marnego słowa nie powiesz, za dziewczkami wciąż. Na to ja na ciebie ostatni grosz wydał, żeby tyle choć zysku z ciebie nie było, co z Łyska pod progiem.

— To co ja wam zrobię—odburknąłem.

— Nie zmilczysz ty rodzicowi kłaku, ja ci pokażę, mundur zedre i w grzbiet kijów nałożę, będziesz miał.

Ojciec wstał, jakby się zabierał do spełnienia groźby.

Matka od komina spojrzała na nas wystraszonemi oczyma i posunęła się, jakby mnie bronić chciała.

— To wieźcie mnie do seminaryum—zawołałem. Kiedy mam być świętym kapłanem, to nie mogę teraz cielaków paść.

Uwaga ta musiała trafić ojcu do przekonania, bo usiadł i sapał. Ja zaś wyniosłem się z izby do stodoły i tam mi matka później przyniosła kolację.

Na drugi dzień popędziłem piechotą do miasteczka. Wprost iść do domu mego byłego dozorca i prosić go o ratunek nie śmiałem. Zacząłem tylko kręcić się dokoła i wkrótce spotkałem dobroczyńcę, jak szedł z wędką i wiosłem na rzekę.

— Jak się masz, Dyoskor? — zawołał i podał mi rękę.

Uścisnąłem ją z szacunkiem i zdjąłem czapkę.

— Cóż tam słyhać u ciebie? — zapytał znowu.

— Ojciec chce wieźć do seminaryum — szepnąłem.

— Prosiłeś go?

— Nie—szepnąłem jeszcze ciszej.

— No, czekaj. Co to dziś? Sobota... jutro niedziela, to ja tam koło poniedziałku, wtorku będę u was. Zobaczysz, mnie twój stary nie odmówi.

Pożegnałem dobroczyńcę i wróciłem do wsi. W gorączce niemal czekałem oznaczonego terminu.

W poniedziałek od rana wybiegałem wciąż z chałupy, patrzyłem na drogę, ale minęło południe i wieczór nadciągał, a nie zobaczyłem nikogo więcej, prócz zwyczajnych, codziennych wędrowców.

Poczęło się zmierzchać; na dziś utraciłem już wszelką nadzieję, gdy wszedł do izby nasz dawny dziedzic, młody jeszcze człowiek, a za nim nasz dozorca.

Zemknąłem do alkierza.

Po pierwszych słowach poznałem, że obaj panowie nie umieją rozmawiać z ojcem i sprawę jaknajgorzej prowadzą. Szczególniej

mój dawny dozorca był zbyt pewny siebie i zanadto obcesowo nacierał. Zdawało mu się zapewne, że głupiemu chłopu byle czem można głowę zawrócić. Dowodził na przykład, że jak skończę gimnazjum, to pewnie biskupem zostanę, a z czterech klas to wcale teraz na biskupa nie przyjmują. Słowa te musiały naturalnie chybić celu, gdyż naprzód, ojciec mój o biskupstwie zapewne nigdy nie myślał i w tym kierunku nie było możliwości podrażnić jego ambicji; powtóre, chłopskim rozumem musiał przeniknąć, że panowie chcą wyzyskać jego prostactwo. Kiedy więc dozorca mój, pragnąc dotrzeć do celu, zapytywał:

— No, ojcie powiedźcie, oddacie Dyoskora do klas?

Ojciec kiwał głową i z pewną opryskliwością powtarzał:

— Pan wie jedno, a ja wiem drugie.

Słowa dziedzica miały wpływ większy nieco. Ojciec widocznie cenił jego odwiedziny i był onieśmielony prośbą pana. Błagalnym prawie głosem zastawiał się:

— Ale kiedy, proszę pana, nie można.

— No, ale czemu nie można? — zżymał się mój dozorca.

— Pan wie jedno, ja wiem drugie.

— Panie Baćkiel—odezwał się w końcu dziedzic tonem wyrzutu — jesteśmy dobrzy

śasiadzi, chodzi nam przecie o wasze dziecko, czemuż nam nie powiecie, dlaczego syna nie chcecie do szkół dalej oddawać.

Ojciec kręcił się na miejscu, kiwał głową i dopiero po długich naleganiach dziedzica oświadczył, że ja go tyle kosztuję i nie ma już pieniędzy na klasy.

— Ależ, ojcie, dobrodzieju — krzyknął ukończony siedmioklasista—teraz na Dyoskora grosza wydać nie potrzebujecie, on sam na siebie zarobi i wam jeszcze przyśle. Ja sam pojedę do Łomży i wyrobię mu dozorstwo na mojem miejscu.

Ojciec znowu zaczął kręcić głową, ale dziedzic oświadczył, że w razie potrzeby dopomoże i zaraz nawet jakąś sumę dać gotów. Ojciec nie miał już nic na usprawiedliwienie swego uporu, moze zresztą zabrakło mu śmiałości. Chciał dziedzica całować po rękach i wreszcie zawołał:

— Proś!

Wszedłem.

— Chcesz ty iść znów do klasy? — spytał ojciec.

— Chcę.

— A widzicie—odezwali się razem obaj panowie, jak gdyby przedtem pozostawała pod tym względem jaka wątpliwość.

Koniec końców seminaryum zostało odłożone na lat trzy.

Szczęście moje nie miało granic, hulałem z Balbiną na zapamiętałego. Wyrwaliśmy się w nocy i latali het, precz! Czasami, pamiętam, księżyc świecił. Uroku jednak tego romantycznego światła nie odczuwaliśmy. Nocne cienie nas nie wabiły. W dzień było nam równie dobrze, może nawet lepiej, tylko mniej dogodnie—groziło spotkanie ciekawych i natrętnych świadków. Całe nasze uczucie, a właściwie cały nasz stosunek, nie miał w sobie nic duchowego; jak się zaczęło od całusa, tak się ciągnęło w ten sposób dalej. Nawet nie gadaliśmy z sobą, bo co mieliśmy gadać, chyba czasem naradzić się, jak oczu ludzkich unikać.

Wakacye się skończyły, miałem już na-
zajutrz jechać do szkół. Kilka godzin wy-
padło przesiedzieć w miasteczku u krawca,
który mi sporządzał nowy mundur. Sporo się
także nabiegałem i naczekałem, aby złapać
dawnego dozorcę i dostać od niego list po-
lający:

Nasycony miłością, a pochłonięty przez
inne myśli, o Balbinie prawie zapomniałem.

Szedłem już z izby do gumna na noc,
gdy wtem z za płotu koło chlewów wysuwa
się jakaś postać i rzuca mi się na szyję.
Przeląknęłam się i odskoczyłam na bok. Była
to Balbina:

— Pan Proś jedzie — mówiła, schylając
głowę ku ziemi—i o mnie zapomni.

— Nie zapomnę—odrzekłem i pocałowa-
łem ją w czoło.

Znowu zaplotła ręce na mojej szyi.

Drażniła mnie ta pozycja, bałem się, aby
nas ojciec nie zszedł. Spojrzałem na jej
twarz, pomimo wieczornego zmroku dostrze-
głem w jej oczach łzy.

— Ja pana tak kocham — wyszeptała i
oparła głowę na mojem ramieniu.

— Pierwszy to raz była między nami
mowa o uczuciach. Doznałem przykrości, po-
czułem pewien niepokój w sercu, wyrzut za-
pewne, że we mnie takie uczucie albo już,
albo może i nigdy nie istniało.

Zakłopotany, wykrztusiłem bez myśli:

— To trudno, cóż robić.

— Kocham z całej duszy, z całego serca,
poszłabym za tobą na kraj świata...

Od strony chałupy dały się słyszeć czyjeś
kroki. Ojciec szedł do stodoły na noc. Bal-
bina uciekła.

Nazajutrz o świcie byłem już w drodze.

Nieustannie prawie myślałem o wczoraj-
szej scenie wieczornej. Nie mogę powiedzieć,
żeby mi się nie robiło błogo, gdy mi się
przypomniawszy błyszczące, choć załzawione oczy
kochanki, jak wpatrywały się we mnie z unie-
sieniem miłości. Czulem wtedy jej ręce na

szy, jej pierś gorąca, cisnącą się do mojej piersi. Ale jednocześnie trapiły mnie wyrzuty. Miałem wtedy już lat siedemnaście i potrafiłem zrozumieć, że oszukiwałem dziewczynę, bo tak, jak ona mnie, ja jej nie kochałem. Szukałem zabawki, zasmakowałem w rozkoszy, o uczuciu nie myślałem wcale. Im dalej, tem żywszej doznawałem przykrości na wspomnienie chwil, pochłoniętych przez stosunek z Balbiną. Nareszcie ten epizod mego życia przejmować mnie począł wstrętem, ile razy nasunął mi się na myśl.

Tym sposobem wioska rodzinna straciła dla mnie ostatni urok. Z drugiej strony między mną a ojcem toczyła się skryta, tajemna, ale zacięta walka. Ojciec był zły, że mi musiał ustąpić, ale wprost nie występował, zapewne ze względu na wysoką opiekę, pod jaką zostawałem. Ja niechęć ojca odczuwałem instynktowo i nastrojałem się odpowiednio. Gadaliśmy tylko półsłówkami.

Nieraz też wystarałem się o kondycję i nie przyjeżdżałem do rodziców na święta lub wakacje. A gdym przyjechał, tom nigdy w domu nie siedział. Chodziłem po polach i lasach, czasem i do karczmy wstąpiłem. Teraz lubiłem nawet pogawędzić z chłopakami wiejskimi, którzy mi już dokuczać przestali, bom się do żadnej dziewczyny nie brał. Balbina miała narzeczonego.

Raz matka zrobiła mi wymówkę, że długo nie przychodził i jedzenie wystygło. Ojciec bardziej jeszcze odwrócił się ku scianie i mruknął:

— Zhardział, stydzi się ojców, od domu ucieka jak pies przed muchami.

Ja jednak bynajmniej nie zhardziałem i nawet myśl moja w tę stronę nie zabłądziła.

V.

Stosunki z kolegami w szkole były mniej więcej takie, jak z chłopakami w miasteczku. Żyłem w ich gronie, należałem do spraw wszelkich, odgrywałem pewną rolę w wewnętrznych sprawach klasy, ale przy sposobności robiono sobie uciechę z wiejskiej niezgraboty mojej, z niedźwiedzich ukłonów, oddawanych nauczycielom pod katedrą, z munduru, zrobionego na wyrost, z parcianych spodni, przypominających spódnice i z chustek olbrzymich w żółte i czerwone kraty.

W stosunkach bliższych nie pozostawałem z nikim. Raz tylko, było to jeszcze w 4 klasie, poczęły się nawiązywać węzły czulszej przyjaźni z synem adwokata miejscowego. Zaprosił mnie nawet do siebie. Kazał przyjść o 5-ej, opowiedział dokładnie, gdzie się zaczynają schody, jak wyglądają drzwi i pole-

cił zadzwonić. Przyszedłem, przeczytałem nazwisko na mosiężnej świecącej się tablicy i zobaczyłem drut od dzwonka, zakończony elegancką białą gałką.

Jak żyję nie byłem w takim położeniu; nie wiedziałem jak dzwonić. Ani w żadnym mieszkaniu naszego miasteczka, gdzie latałem z kartkami, ani na żadnej stancyi uczniowskiej, gdzie teraz chodził, dzwonka nie widziałem.

Przypomniały mi się czasy służby u księdza wikarego, chwyciłem oburącz za gałkę i począłem sygnować. W tej chwili za drzwiami dał się słyszeć wielki hałas, stukanie i krzyki. Drzwi się otworzyły gwałtownie, ujrzałem przed sobą pana domu w szlafroku, panią w białym kaftanie, który kończyła dopiero zapinać, dependenta z piórem za uchem i parę osób służby, słowem tłum, widocznie gniewny i wzburzony; oczy wszystkich pały złowrogo.

Naturalnie wyglądałem jak najczerwieńsza róża i na gwałtowne zapytania: co to? co to takiego? Czego to? nie umiałem nic odpowiedzieć.

Poczułem się winnym; niewiem czemu, w pamięci stanęła mi żywo fura żydowska na szosie pod miasteczkiem, a nawet zdaje się, że poczuł ból w podbitej niegdyś oku.

Na szczęście przez tłum przedarł się mój kolega, chwycił mnie za rękę i zaprowadził do swego pokoju. Po drodze i przezedrzwi jeszcze słyszałem bardzo surowe uwagi o moim zuchwałym postępku. Okazało się, że państwo używali poobiedniej drzemki, a moje sygnowanie wzięli za alarm pożarowy.

Na drugi dzień wszyscy w klasie wiedzieli o wypadku. To był mój pierwszy występ na większym świecie.

O seminaryum nie myślałem wcale. Wtedy właśnie weszliśmy, albo raczej wpadliśmy w okres filozoficznego pojmowania i krytykowania świata. Stało to się nagle i stanowczo, nawet niespodziewanie. Jeszcze na początku roku, w piątej klasie mój sąsiad z ławy, mały Dulemba, opowiadał mi ze zgrozą, a ja słuchałem z przerażeniem, iż jakiś Anglik Karol Dickens napisał książkę, dowodzącą, że człowiek pochodzi od małpy, i że w tej książce Bóg jest wszędzie pisany przez małe *b*. Pod koniec zaś roku jużśmy wiedzieli dokładnie, jaką rolę odgrywa Darwin w podziale naszego społeczeństwa na obozy i co myśleć należy o wstecznikach, którzy nie wyznają jego teorii. Teraz już i przekonania zagradały mi drogę do konfesjonatu i ambony—jakeśmy się wyrażali. Z wyżyny obecnych moich pojęć seminaryum dojrzeć nie byłem w stanie.

Braliśmy bardzo żywy udział w ruchu umysłowym kraju, zaciągawszy się z duszą i z ciałem pod sztandary «młodej prasy». Szczególniej bogatym źródłem światła były dla nas nieporównane feljetony pism postępowych: z nich uczyliśmy się karcieć przeszłość, sądzić społeczeństwo i ludzi, z nich ssaliśmy przekonania filozoficzne i religijne. Wszyscy umieliśmy do połowy przynajmniej wiersz Juljana Mohorta, p. t. «Naprzód».

Jeden siódmoklasista napisał nawet sam artykuł, który niebawem został wydrukowany na czele numeru, a redakcya prosiła listownie, «aby śmiały ten umysł i nadal nie odmawiał swego cennego współpracownictwa». Wszyscy byliśmy z tego wypadku niezmiernie dumni. Nikt nie myślał zazdrościć szczęśliwemu autorowi, gdyż zdawało się nam, że zaszczyt spływa na całe gimnazjum. Artykuł nosił tytuł—pamiętam doskonale—«Fetyszym bezsensu» i domagał się palenia ciał, dowodząc, że cmentarze wywołują zastój w pojęciach przyrodniczych o życiu.

Przez cały tydzień z niecierpliwością, przechodzącą w gorączkę, oczekiwaliśmy piątku, gdyż w dniu tym wraz z pasażerami karetki Anszla przyjeżdżały dla nas z Warszawy nieporównane feljetony. Wprost z klasy pchaliśmy się do maleńkiej księgarenki, aby jaknajprędzej dostać do rąk pre-

numerowane organy młodej prasy. Po drodze po dwu i po trzech wsadzaliśmy głowy w nierozcięte arkusze.

Prócz «rzeczy seryo» czytywaliśmy także i powieści. Niektóre z nich, poważne, np. «Z obozu do obozu», «Żyda wiecznego tułacza», lub «Idealistów», zalecały nam nawet pisma postępowe. Ale prócz tego gustowaliśmy nadzwyczajnie wszyscy w przygodach amerykańskich Maine-Reade'a. Uważaliśmy to jednak za odstępstwo od przekonania i nawet w swoim kółku nie przyznawaliśmy się do tej kompromitującej słabości. Zdarzyło się nieraz, że jeden u drugiego na łóżku lub na półce znalazł powieść Maine-Reade'a. Właściciel w tej chwili wyrywał książkę z ręki i mówił zaczerwieniony z gniewem:

— Te malcy wszędzie swoje książki rozrzucają!

Największy ruch zapanował około Bożego Narodzenia, jakem był już w 7-ej klasie.

Dobrze na tydzień przed rozpuszczeniem zjawilo się paru zeszłorocznych starszych kolegów, którzy od kilku już miesięcy nosili mundur uniwersytetu warszawskiego. Pierwszy przyjechał niejaki Dylski i niemało nam zaimponował. Naturalnie każdy z nas starał się być jaknajbliżej i najdłużej koło niego. Dawniej mówiliśmy mu *ty*, on też tak samo nas tytułował. Teraz nie używał innej formy

jak tylko *kolego* i *wy*. Przy jakiejś sposobności wytłómaczył nam, że się w Warszawie do tego przyzwyczaił i teraz nie potrafiłby już mówić inaczej.

— Zresztą, to formy szlachetniejsze—dodał, podnosząc do góry rękę z papierosem i puszczając zgrabne kółko dymu.

Opowiadał nam cuda o złotej wolności studenckiej. Nietylko nie potrzebują uczyć się lekcyj, bo nie wydają, ale to, za co my jesteśmy tu najsurowiej karani, oni sobie praktykują jak nic, bez obawy i ukrywania się. Chodzą do cukierni, na bale, do knajp. Najbardziej zaś lubił prawić, a my najbardziej słuchać o ponętnych stosunkach w sferze szwaczek, «zacnych dziewcząt».

Naturalnie przekonał nas łatwo, że uniwersytet jest najprzyjemniejszą i najbardziej godną pobytu instytucją.

Dylski chodził ubrany bardzo elegancko. Palto nosił nieokreślonego koloru; spodnie, choć w innym guście, były również nieokreślone. Na okoliczność tej nieokreśloności zwracał szczególniejszą naszą uwagę, jako na ostatni wyraz szyku i gustu. Mankiety spadały mu aż na paznokcie wielkiego palca, tak że dla utrzymania ich musiał nieustannie mieć ręce rozciepierzone. Kołnierzyki jego posiadały formę dotąd przez nas nieogłą-

daną i jaśniały nieposzlakowaną białością, mundur świecił guzikami i galonami.

Obok tego wszystkiego czapka była tak brudna, że kolor pierwotny został zupełnie zatracony, plamy zachodziły jedne na drugie, tłuszcz nie wsiąkał już w przesycone sukno, ale łamał się poprostu. Oczywiście, bez nadzwyczajnych wysiłków niepodobna było w ciągu kilku miesięcy nowej czapki doprowadzić do tego stanu.

— Gdzieście tak czapkę zniszczyli?—spytał któryś z nas.

Dylski przybrał niedbałą pozę i wydał usta. Wydało mi się, że pytania tego oczekiwał.

— Widzicie kolego—odrzekł, otrząsając popiół z papierosa—u nas to tak. Przyjdzie się do prosektoryum, to się czapkę ciśnie na trupa, albo się stół prosekcyjny wytrze.

Wzdrygnąłem się, ale nie śmiał tego okazać po sobie.

— Przytem to takie właściwe—ciągnął dalej medyk—żeby student miał czapkę wyszarzaną. Nowa sterczy głupio na głowie, a ta się układa doskonale. O, patrzcie—i zsunął cały wierzch czapki na tył głowy. Prawda?—zapytał.

Wszyscy uznaliśmy oczywistość tej prawdy.

Po Dylskim zjawił się Kosiorek, nasz kolega z tej samej klasy, który, straciwszy

nadzieję przekroczenia klasy szóstej, rzucił się na weterynaryę. Za czasów uczniowskich był tępy do nauk, ale odznaczał się wesołością i całkowitą pogodą umysłu. Teraz stał się ponury, jak zmrok zimowy. Ponurość nosił na twarzy, ponurość przebiegała z ruchów i z odzieży. Spodnie miał u dołu całkiem obszarpane, jakby frendzlą obszyte, nosił pled i czarny kapelusz o szerokich rondach.

Gdyśmy Dylskiemu powiedzieli o przyjeździe Kosiorka, skrzywił nos i odrzekł niedbale:

— Jesteśmy z nim daleko, on został zanadto czerwonym...

Ponieważ ani w feljetonach, ani we wstępnych artykułach żadnego z trzech organów młodej prasy nie było nigdy o *zanadto czerwonych*, nie wiedzieliśmy więc, jak właściwie ten gatunek ludzi rozumieć należy.

Kosiorek każdego z nas ścisnął, potrząsał mocno ręce i pytał co słychać.

— No cóż—mówił z widocznem szyderstwem—wy tu kujecie, kujecie, co? Algebrę, Ksenofonta, cha, cha, cha!—śmiał się, ale śmiech jego brzmiał ponuro.—A o «najważniejszej kwestyi» napewno nie słyszeliście? Po tych słowach ponurość weterynarza doszła do ostatniej granicy, powiódł dokoła surowym, niemal strasznym wzrokiem, a mocno

pięścią uderzył w rynnę, koło której staliśmy. Rynna zabrzęczała, śnieg zasypał mu cały rękaw i kawał pledu, niezwracał na to uwagi najmniejszej.

Nie wiedzieliśmy co mu odpowiedzieć, ale on na odpowiedź nie czekał i mówił dalej:

— Uważacie, koledzy: burżuazya... cóż to jest?—wampiry, co żyją krwią ludzką. Kto kocha miliony, czy ten będzie zawracał głowę półśrodkami? Albo się jest, do diabła, radykałem, uważacie—albo się jest złodziejem—koledzy! Środka niema. Gambeta wart tak samo stryczka jak Rotszyld! Wszystkich-bym ich powywieszał!

Zapalił się mową własną.

— Uważacie, co nasze pisma? Czy wspomną kiedy o najważniejszej kwestyi, co? Nigdy. Wiedzą czem to im grozi. Burżuazya!—rynną zabrzęczała znowu.

— No, a młoda prasa?—protestowaliśmy, choć już niejeden podejrzewał coś złego.

— No, to co?—spojrzał nam surowo woczy. Pospuszczaliśmy głowy.

— Zgoda, czasem zdobędzie się na odwagę. Ale czy i ona nie tonie w idyotyzmie i podłości, co? O najważniejszej kwestyi niby nie wie. Ja wam kiedy pokażę pisma, zobaczcie!

Z Dylskim raz się spotkali u jednego z naszej klasy.

Kosiorek mówił o najważniejszej kwestyi i pięścią nieustannie uderzał w stół, naraz zwrócił się do medyka tonem pełnym urągania:

— Cóż, uważacie, wy myślicie robić?

Dylski przybrał poważną minę.

— Pracować u podstaw—odparł.

— Cha, cha, cha!—udawał śmiech Kosiorek, kiwając głową.

— Podnosić lud—mówił niezbity z tropu Dylski—szerzyć oświatę i nieść przed narodem postępu kaganiec!

— O!—zwrócił się do nas Kosiorek z tryumfem—oni przewrót społeczny rozkładają na epoki geologiczne.

— Bądź kolega spokojny—odrzekł medyk wyniośle—damy sobie radę.

Podczas tej rozmowy byliśmy jak ten prostak, co trafił na kazanie w obcej parafii i nie zrozumieć nie mógł. Nam się zdawało, że Dylski i Kosiorek mówią akuratnie toż samo, co nieporównane feljetony, tymczasem oni wyglądali jak dwaj śmiertelni nieprzyjaciele, gotowi rzucić się sobie do oczu.

Gdy Kosiorek wyszedł, Dylski rzekł do nas:

— Ci weterynarze, to wogóle durnie, my się z nimi w Warszawie nie wdajemy.

Kosiorek znowu przy jakiejś sposobności oznajmił, że Dylski do żadnej poważniejszej pracy w uniwersytecie nie należy, a czapkę swą zatłuścił naumyślnie, aby wyglądać na starego studenta, bo nawet z pierwszego kursu do prosektoryum wcale nie chodzą.

— Wyśługuje się burżuazyi. Karyerzysta! — zakończył i uderzył pięścią w stół.

VI.

Kiedym wrócił ze świąt do Łomży, studenci jeszcze się nie rozjechali. Teraz większość i wpływ były widocznie po stronie petersburszczyków, którzy wszyscy bardzo przypominali Kosiorka. Wszyscy mieli mniej więcej ponure spojrzenie, wszyscy mieli czarne kapelusze z szerokimi rondami i pledy. Tylko nie wszystkich spodnie posiadały u dołu frendzle.

Tego samego wieczoru, kiedym przyjechał, złapał mnie mały Dulemba i jał opowiadać o wielkim ruchu między uczniami.

— Jutro mamy się zebrać — mówił tajemniczo.

— Po co?

— Tak, wogóle, pogadać.

Nazajutrz, idąc do gimnazjum, spotkałem Kosiorka.

— Przyjdziecie co? trzeba będzie, uwaga, pogadać, wogóle, o najważniejszej kwestyi.

Zauważyłem, że ponurość Kosiorka jeszcze spotężniała.

Po obiedzie wszedł do mnie, co mi bardzo pochlebiło, dawniejszy mój daleki znajomy, dziś już technolog z 3-go kursu, Ancypa, i zaraz po przywitaniu polecił przyjsć, gdyż mamy wogóle pogadać.

Przyszedłem. W niewielkim pokoiku było już osób kilkanaście; naszych uczniów z 10-ciu, Kosiorek i petersburszczycy. Za stołem siedział wysoki, ospowaty technolog, któremu ledwie pamiętałem z dawnych czasów w gimnazyum; rękę wyciągnął na całą długość stołu, bębnił palcami i rozmawiał z Dulembą, który był bardzo czerwony, jak gdyby ze wzruszenia. Ospowatego technologa nazywano *tatusiem*. Zaraz obok, po prawej stronie oparł ręce na stole, a brodę położył na rękach i rzucał dookoła bystre spojrzenia puciołowaty Ancypa. Po lewej stronie czytał gazetę jakiś nie znany mi jegomość w mundurze medyka, z czupryną rozczochrzoną i zupełnie czerwoną. Kosiorek wcisnął się w najciemniejszy punkt pokoiku.

Na stole leżały porozrzucane broszury i parę numerów pism peryodycznych; domy-

śliłem się, że to te, których pokazanie zapowiedział nam kolega Kosiorek.

Przez czas jakiś rozmawiano pocichu po dwu, po trzech w kątach. Nareszcie podniósł głos tatuś i zapytał:

— Koledzy, co też wy tu czytacie?

— Organy młodej prasy—wyrwał się jedyny piątoklasista, jakiego wezwano na zebranie.

Tatuś uśmiechnął się zlekka i potrząsnął głową.

— Mnie chodzi o rzeczy poważniejsze, o książki.

Rozumieliśmy, że ani z Bałuckim, ani z Lamem niema się co popisywać, nie mówiąc już o Maine-Reade'zie. Przez chwilę więc trwało milczenie.

Przypomniałem sobie jeden z nieporównanych feljetonów, z którego okazywało się, iż każdy porządny i rozumny człowiek powinien uwielbiać dzieło Mill'a o «Wolności». Autor dowodzi, że nie byłoby wcale powodu do rozpacz, gdyby wszystkie utwory nagle wyginęły, a ten jeden pozostał. Każdy inaczej myślący człowiek podany tam był za nędznego i ciemnego wstecznika.

Sądziłem więc, iż trafię najlepiej, gdy powiem:

— Tak... Mill'a... o «Wolności»...

Jeszcze nie skończył, a już dostrzegłem, że chybił. Ancypa się skrzywił, aż oczy zamknął. Tatuś uśmiechnął się uragliwie. Kosiorek poruszył się z krzesłem w swoim kącie i machnął ręką z najwyższą pogardą.

— Mill — począł tatuś mentorskim tonem—to stary osioł, tepizna...

— Idyota—wtrącił ponuro Kosiorek.

— ...Czytanie którego—ciągnął tatuś — jest bezmyślną stratą czasu. Właśnie chcąc zaradzić brakowi książek, przywieźliśmy nieco—wskazał na broszury i gazety.

W tej chwili czerwonogłowy jegomość położył na stole czytany numer, jak gdyby go zwracał nowemu posiadaczowi.

— Z nich poznać—odezwał się uroczyście z kąta Kosiorek i podniósł nadzwyczajnie brwi do góry—najważniejszą kwestyę!

Poprzedzając działanie broszur, technodzy poczęli nas obznajmiać z «idea». Głównie przemawiał tatuś. Od czasu do czasu wtrącił pośpiesznie kilka słów, zawsze z pewnem uniesieniem, Ancypa. Od czasu do czasu także rzucał stanowcze a ponure słowo Kosiorek.

Odzywał się i jegomość z czerwoną głową, zawsze z gniewem i zawsze z krótką uwagą: «Gadanie», albo «Bodaj tak pies płakał», albo «Pomidory z miodem» i coraz bardziej wykręcał się tyłem do stołu.

Tatuś kilkakrotnie stosował słowa swoje wyłącznie do technologów; były to nawiasy, napełniane uwagami, instrukcjami, a nawet strofowaniem dla starszej części zgromadzenia.

Jeśliśmy niezupełnie skorzystali z wykładu, to głównie dzięki temu, że nie uwzględniano wcale braku przygotowania z naszej strony. Mówiono z urąganiem, pogardą lub z zachwytem, jak o kwestyach zdecydowanych, o rzeczach, o których żadnego nie mieliśmy pojęcia. Wogóle cała lekcya robiła wrażenie dalszego ciągu, a myśmy o początku nie słyszeli nigdy. Przytem wszyscy oni używali słów niezupełnie zrozumiałych, których znaczenia ledwieśmy się domyślali. Wreszcie śpieszyli się strasznie; zdawało się, że jeden drugiego przegania, a wszyscy lekają się, aby czegoś nie zapomnieć.

Właściwie nie było żadnej racyi, żebyśmy się nie mieli dać spropagować bez oporu. Wiodocznie jednak kołatał się wśród nas konserwatyzm bezwiedny, lub może duch opozycyi wrodzonej, bo ten i ów odezwał się czasem z jakąś wątpliwością. Tylko że się nam to nie udawało. Tatuś kilku słowy zamykał gębę.

Pamiętam, stało się to i ze mną. Ancypa przyspieszonym, jak zwykle, głosem dowodził, że ustrój społeczny w Europie powstał z podboju i powoływał się przytem na Szaj-

nochę i Maciejowskiego (wogóle tatuś i Ancypa sypali nazwiskami, jakby odmawiali litanję do wszystkich świętych). Za dowód podawał okoliczność, iż społeczeństwo składa się do dziś z dwu światów, bo chłopci stanowią odmienny typ społeczny.

Mnie się wydało, że będzie to objawem szczerości moich przekonań demokratycznych, jeśli zaprotestuję przeciwko ostatniemu twierdzeniu. Wszyscy ludzie są równi, jednakowi, niema dwu światów, niema typów odmiennych. Podniósłszy więc nieco głos, odezwałem się skromnie:

— O ile znam chłopów, to są oni tacy sami jak nie-chłopci, różnica wynika z wykształcenia.

Tatuś popatrzył na mnie ironicznie.

— Kolega—rzekł—nie rozumie widocznie, co znaczy *typ psychiczny*.

Poczerwieniałem i umilkłem.

Dulembie dostało się gorzej. Powołał się na «Niwę» i Ancypa go skrzyczał. Powiedział mu, że się wykręca sianem, bo się boi radykalizmu.

Biedny mały Dulembka kłać się musiał, iż jaknajszczerzej chce zostać radykałem i nawet już jest radykałem.

Jegomość z czerwoną czupryną opisał tymczasem cały okrąg koła i znowu siedział twarzą do stołu, brał po kolei gazety i bro-

szury i kładł je napowrót. Nareszcie zupełnie głośno i zupełnie stanowczo przerwał tatusiowi wykrzyknikiem.

— Zawracanie głowy!

Tatuś w jednej chwili poczerwieniał i zaraz pobladł.

— Jeżeli koledze się to nie podoba, to może kolega wyjść, drzwi otwarte — rzekł tonem nawiasowym, ale spokojnie.

Jegomość z czerwoną czupryną wybuchnął. Coś krzyczał, ale trudno było go zrozumieć; pochwyciłem tylko, że tatusia nazywał generałem. Począł także krzyczeć Ancypa, musieliśmy się nawet odsunąć, bo mu ślina z ust jak fontanna pryskała. Krzyczeli także dwaj inni technolodzy, a Kosiorek coś ponuro mruczał i rzucał na czerwoną czuprynę straszne spojrzenia. Jeden tatuś zachował swoją zimną ironję i wciąż nią krzyczących podniecał. Łatwo się domysleć, co tam był za hałas.

Na środek pokoju wysunął się także kolega Machczyński. Dotąd siedział tak cicho za etażerką, że go wcale nie zauważył. W gimnazjum był on w jednej klasie z Ancypą. Pamiętałem go dobrze, bo bywał niegdyś często u naszego dozorczy. Wtedy nazywali go powszechnie Piotrem. Niewiele się zmienił od tego czasu. Jak był mizerny tak został, oczy jego miały zawsze ten sam

jasny blask, tylko mu się broda puściła. Wtedy, przypominam sobie, my malcy marzyliśmy, żeby to on mógł zostać u nas dozorcą, bo był bardzo dobry. Starsi go także lubili.

Machczyńskiemu kłótnia musiała sprawić niemałą przykrość; podbiegał to do jednego, to do drugiego i perswadował, błagał niemal:

— Koledzy, koledzy, dajcie pokój, czyż to miejsce? Dajcie pokój!

Chwytał nawet zaperzonych za ręce, aby zwrócić ich uwagę na swoje słowa. Ale głos jego i perswazyje niknęły jak wiadro wody w pożarze.

Nigdy nie przypuszczaliśmy takiego obrotu. Byliśmy w bardzo głupim położeniu. Żeby nas kto zabijał, nie potrafilibyśmy powiedzieć, o co chodzi zwaśnionym. Zbyt zaś wielki respekt czuliśmy dla ich wiedzy i stanowiska, abyśmy się poważyc mieli na łagodzenie sporu.

Jegomości o czerwonej czuprynie widocznie zabrakło treści do kłótni, bo powtarzał tylko tatusiowi «jenerał», a Ancypie «adju-tant»! Uniesienie jego jednak przez to nie zmalało. Nareszcie krzyknął:

— Pał was djabli! — złapał za kapelusz i wybiegł.

Chwilę trwało milczenie, przerwał je tatuś, zwracając się półgłosem i nawiasowo do Ancypy:

— Niepotrzebnie takeście się unosili.

I zaraz zaczął nam coś wykladać, ale już nie szło, wszyscy byli skwaszeni. Machczyński wrócił za etażerkę, głowę spuścił i wyglądał jak struty. Do końca wieczoru ust już nie otworzył. Zresztą rozeszliśmy się wkrótce.

Nazajutrz przed wieczorem wstąpiłem do Zwierciadłowskiego po kajet; jeszcze nie zdążyłem należycie wyciągnąć się na łóżku, gdy już wypadło wstać, bo przyszedł Machczyński. Widocznie wczorajsza zgryzota jeszcze go nie opuściła, bo oczy wciąż patrzyły chmurno. Usiadł i milczał. Zagabywaliśmy go o to i owo, ale odpowiadał tylko albo *hm*, albo *tak*; widoczne przytem było, że o naszych zapytaniach nie myśli i nie chce wcale myśleć. Musieliśmy dalszych prób zaprzestać. Zwierciadłowski spoglądał na mnie, ja na niego, milczenie było bardzo kłopotliwe; zaczęliśmy rozmawiać półgłosem o swoich sprawach. Nagle przerwał nam Machczyński zapytaniem:

— Czy wy z wczorajszej kłótni wyprowadzacie jakie wnioski?

Upewniliśmy, że nikt o żadnych wnioskach nie myśli nawet.

Wtedy kolega Piotr począł nam dowodzić, że z pozorów, z jednego zebrania sądzić się nie godzi, że kłótnia jest ostatecz-

nie formą, uwagę zaś na treść tylko zwracać trzeba, a wreszcie niewolno płać idei z jej przedstawicielami. Idei wielkiej szkodzić nie może żaden przedstawiciel, nawet podły. W dodatku ludziom trzeba coś wybać.

Z początku Machczyński mówił tym samym szorstkim prawie tonem mentora, jakiego wczoraj używali tatuś i Ancypa. Ale zdaje się, że jemu ta rola ciążyła; im dalej tem głos jego stawał się bardziej miękki. Wykład przeszedł w gawędkę szczerą i przyjacielską.

W pokoju panował zmrok, nie daliśmy Zwierciadłowskiemu zapalać światła. Czulem, że i nas i kolegę Piotra ogarnia jakaś ciepła serdeczność i zbliża do siebie.

Opowiadał nam o zebraniach w Petersburgu. Tam jest tylu ludzi dzielnych i znacznych, gotowych ponieść ofiarę największą, zdolnych dokonać rzeczy wielkich, ale właśnie i kłótnie zdarzają się często, a wszystkiemu winna ta ambicya przekłeta, to nasze usposobienie do zwad. Pomimo to on wierzy, że idea zmoże wszystko i dobrze będzie.

— Zobaczycie, zobaczycie—powtarzał— że dobrze będzie.

Upewniał nas, a w głosie jego łzy słychać było, iż do ostatniej kropli wytoczyłby krew własną, byle tylko koledzy jego,

ludzie powołani przecie do rzeczy wielkich, pozbyli się słabostek. Należy się skupić, należy się chwycić za ręce. Wszyscy ludzie, co chcą dobrze robić, powinni się jednaczyć, powinni się kochać jak bracia.

— Bo... bo idea—mówił z trudnością, jakby mu wyrazów brakowało— to matka rodzona.

Ze słów jego biła szczerłość i myśmy mu wierzyli całkowicie.

Było już zupełnie ciemno. Musiałem iść. Nie zdając sobie sprawy, zapominając o respekcji, poczułem popęd do uściskania pocciwego Piotra. Całowałem go serdecznie, i on mnie objął i przycisnął silnie do siebie, a potem jeszcze mocno ścisnął za rękę.

Przez cały wieczór czułem jakąś pociechę i jakieś ciepło koło serca.

Machczyński nazajutrz wyjechał.

Za dwa dni miało miejsce drugie zebranie, ale już na nie pójść nie mógł z powodu jakiegoś zajęcia. Wiem jedynie od kolegów, że się odbyło spokojnie. Tatuś tylko strofował Kosiorka, że z jasnych rzeczy robi misteryę swoją «najważniejszą kwestyą». Ale Kosiorek zmilczał, chociaż się widocznie obraził, bo wyszedł wkrótce. Mówiono mi, że miał minę bardziej jeszcze ponurą niż zwykle, ja jednak myślę, że to przesada.

Na placu zostali ostatecznie tatuś i An-

cypa. Pod ich też patronatem związane zostało kółko «oświaty socyalnej», z celem kształcenia się w kierunku społecznym, na podstawie zostawionych nam 7-miu broszur i 4-ch numerów pism.

Koledzy powiedzieli mi także, że tatuś pytał, czemu nie przyszedłem, i powiedział:

— To zdaje się tegi chłopak, taki jakiś zawzięty i nie głupi.

Ostatni przymiotnik szczególnie mi pochlebił. Radość moją émiło tylko pytanie: zkad tatuś mógł co wiedzieć o mojej mądrości?

«Nowinki» studenckie niebardzo jednak wśród nas się przyjęły. Żywe słowo nie dołało jakoś rozpalić uczuć ogółu, a drukowane leniwo krążyło z rąk do rąk.

Tylko Dulemba przejął się mocno tą sprawą. Korespondował wciąż z Ancypą, usiłował go też naśladować w ruchach i w mowie. Nazywał się zawsze radykałem, a nam wymyślał od idyotów i tchórzów.

Mnie, co prawda, wkrótce zajęły sprawy inne.

VII.

Grędym był ostatni raz w domu na Boże Narodzenie, spostrzegłem, że matka bardzo postarzała. Włosy jej zbielały jak mleko. Pochyliła się ku ziemi. Plecy wygięły się jakoś i między ramionami wyrósł garb prawie. Ale czuła się dobrze, przynajmniej nie słyszałem, aby się skarżyła, iż jej coś dolega. Cicha była jak zwykle, i krzątała się jak zwykle raźnie koło komina.

Pod koniec zapust — już nas całkowicie pochłaniała myśl o blizkich egzaminach na patent — odbieram list, kreślony drżąca i niewprawną ręką starego Symeona, w którym mi donosi o śmierci matki. List szedł przez okazyę blisko tydzień, nie było już po co jechać.

Wiadomość ta nie zrobiła na mnie żadnego wrażenia. Przyjąłem ją tak obojętnie, że

aż się sam przeraziłem. Łza jedna z oka mi nie spłynęła. Czytałem w historii i w powieściach o wielkich przykładach czułości synowskiej; wiedziałem, że świat uczucia rodzinne otacza czcią, że kto ich nie ma, ten nie godzien szacunku ludzkiego, jako wyrodek bez serca. Ta okoliczność martwiła mnie więcej niż wieść żałobna.

Pomimo to jednak cały dzień myślałem o nieboszczce. Gdy się położyłem, zasnąć nie mogłem. Z jednej strony gryzły mnie wyrzuty za nieczułość, z drugiej zgarbiona postać matki, osiwiałej, cichutkiej stawała mi wciąż przed oczyma.

Zaczęło dzień. O tej porze zwykle się w domu budziłem. Ojciec kończył krótką toaletę i mruczał gniewnie. Na tle roznieconego ognia widziałem sylwetkę matki.

Rozrzewnienie chwyciło mnie za serce. Przypominałem sobie, jak matka z wystraszonemi oczyma chciała mnie bronić przed gniewem ojca. Przypominałem sobie także dziewczynę, z którą błdził po nocach, a która mi miłość wyznała ze łzami w oczach. Po raz pierwszy poczułem tęsknotę za polami i lasami, za brudną i duszną chałupą, nawet za bajkami i karczmą.

Dusiło mnie w gardle. Rzuciłem się raz i drugi na łóżku, jak gdybym czegoś potrzebował i chciał, a otrzymać nie mógł. Łzy

cisnęły mi się coraz mocniej do oczu. Nie miałem już siły ich wstrzymywać. Płakałem, płakałem rzewnie, strasznie. Zdawało mi się, że ze mną i koło mnie dzieje się coś nadzwyczajnego a okropnego. Była chwila, żem sądził, iż życie z siebie wypłaczę i to mi sprawiło jakieś zadowolenie, jakieś zadosyćuczynienie.

Posłyszałem szmer wstających chłopców, nakryłem się szczelnie kołdrą na głowę i pozostawałem tak długo. Słyszałem, jak jeden budził drugiego, jak się ubierali, myli, powtarzali lekcye, potem poszli do klasy.

Leżałem wciąż. Teraz zawładnęła mną bezsilność. Nie miałem mocy i odwagi odrzucić kołdry i wyrzeć na świat. Od czasu do czasu łkanie mną wstrząsało. Jeszcze parę razy łzy popłynęły mi z oczu, ale już spokojne, kojące jak gdyby.

Wstałem ociężały i apatyczny.

Jaka ona była cicha, jaka łagodna, jaka pracowita.

Co stanowiło dla niej powab życia?

Była zupełnie niepodobna do innych kobiet wiejskich. Nie udzielała rad ani chorym ani zdrowym, nie biegała z językiem od chaty do chaty. Nie kłóciła się nigdy z nikim, nie kłęła. Nawet parobkowi złego słowa nie powiedziała, nigdy przeciwko niemu ojca nie podburzała.

Może ja byłem łącznikiem pomiędzy światem, życiem a nią? Może myśl o mnie dawała jej siłę do ciężkiej pracy? Może jej marzenia i nadzieje wiązały się z moim postępowaniem i z moją przyszłością?

Biedna moja matka!

Cieężko mi było na sercu. Ona nigdy nie nie żądała odemnie, o nic mnie nie prosiła, nawet nie nie radziła. Nigdy mi też nie przyszło do głowy zwracać uwagę na jej pragnienia, lub je odgadywać. W postępowaniu swoim, w planach nigdy nie liczyłem się ani z jej życzeniami, ani z jej wolą. W tej chwili czułem się winnym, krzywdzicielem niemal. Zdawało mi się, że jestem wykończony, że się wszystko w życiu moim popłatało, a na przyszłości całej ciężcyć nie przestanie grzech przeszłości.

Z czasem przykry stan ten słabł i zacieśniał się, ale ślad jakiś pozostał. Inaczej już teraz myślałem o rodzinnej chacie niż dawniej. A na myśl, że pojedę tam, doznawałem drżenia jakiegoś w piersiach.

A pojechałem nie tak prędko. Miałem doskonałą lekcję na mieście, co mi byt dawała, bez niej nie miałbym za co szkoły skończyć, nie miałbym za co dojść do blizkiego patentu. Ale malec uczył się nietego, proszono, abym został przez czas wielkarnocny i dano do zrozumienia, że wraze od-

mowy stracę lekcję. Cóż miałem robić? — zostałem.

Zaraz po odebraniu wiadomości o śmierci matki napisałem do ojca. Ale odpowiedzi nie było. Miałem napisać do starego Symeona i rozpytać go, co się u nas dzieje, i tak jakoś zeszło.

Nareszcie otrzymałem patent. Ostatnie sceny ceremonjału gimnazjalnego pamiętam w ten sposób, jak gdybym był wtedy w gorączce. Odbyły się jakieś pożegnania u profesorów, pożegnania z kolegami, wyznaczanie dnia zjazdu za lat dziesięć, nareszcie bibka za miastem «w górach». Do wszystkiego należałem, poruszałem się i mówiłem, ale myślą pozostawałem cały czas daleko. Nie wiedziałem, co ze mną będzie, pragnąłem jaknajprędzej znaleźć się na wsi. Byłem bardzo skolatany, znużony i zdawało mi się, że tam znajdę odpoczynek.

Pamiętam jak dziś, wyruszyłem z Łomży wieczorem we czwartek furą żydowską. Miałem coś ze dwudziestu towarzyszy podróży, samych żydów. Zajmowałem honorowe miejsce—po prawej stronie na pierwszym siedzeniu. Zatrzymywaliśmy się, Bóg wie ile razy, w samem mieście, zbierając pasażerów na wszystkich niemal rogach. Nareszcie mineliśmy domki, stodoły i ogrody. Fura zatętniła po szosie.

Nigdy nie zapomnę tej nocy. Czulem, że przeszła część mego życia załamana się i gdzieś zapadła. Stoję wobec ciemni nieprzenikniętej, na nic niezdecydowany, wiedząc, że nikt mi nie da pomocy, nikt rady nie udzieli.

W głowie świtały mi różne pomysły pracy społecznej, o której tyle w ostatnich dwu latach słyszałem i mówiłem, ale nie mogłem dojść do planu żadnego, do żadnego postanowienia. Najbardziej pragnąłem iść do uniwersytetu, to mi się uśmiechało i wabiło, dusza moja rwała się tam. Ale za co jabyłem dojechał do Warszawy? Zresztą, dawniej możebym myśli tej uczepił się silnie i postawił na swoim, ale od śmierci matki błąkało mi się po głowie mgliste przypuszczenie, że nauką swoją zawiniłem względem ojca, matki, względem nawet całej wioski rodzinnej. Pragnąłem być jaknajprędzej w domu, a jednocześnie trapiło mnie niewyraźne przeczucie jakiejś przykrości.

Moi towarzysze podróży zabrali się wnet do spania. Zbyt wielką posiadali wprawę, aby im się to odrazu udać nie miało.

Byłem kontent, prawie szczęśliwy, gdy ustał ich szwargot i mogłem spokojnie oddać się myślom. Trafiły mnie one bardzo, to też na dobre zasnąć nie byłem w stanie, ale po paru godzinach jednostajnego trzęsienia się na wozie, zacząłem drzemać, albo raczej za-

częło mi się majaczyć. Drzewa i krzaki przydrożne w oczach moich przybierały kształty fantastyczne ludzi i zwierząt; widziałem damy w średniowiecznych strojach, rozbójników, słonie; a wszystko w dziwaczny sposób plątało się z myślami o przyszłości i przeszłości, o stosunkach z ojcem i z matką. Kilkakrotne silniejsze stuknięcie w kamień przywracało mi przytomność, potem znowu wpadałem w ciężkie gorączkowanie.

Aż poczęło świtać. Przedmioty utraciły nocną fantastyczność. Wionął wiatr chłodny i otrzeźwił mnie zupełnie. Niebo jaśniało, z szarego przeszło w białawe, na wschodzie z różowego stało się purpurowe, z za lasów strzeliły pierwsze promienie słońca.

Przez lat kilka codzień na wsi spotykałem wschód, był to dla mnie widok powszedni, a jednak teraz upajał mnie swoim urokiem. Wychyliłem się, bom pragnął wziąć udział w budzącem się życiu. Całą pierśią piłem wilgotne i chłodne technienie poranku.

W powietrzu brzmiało coraz więcej dźwięków. Ptastwo po lasach pobudziło się już i świergotem pomagało sobie w rannej krzątaniu. W górze słychać było niewidzialnego skowronka. Dokoła rozlegał się odgłos kłetek i pomrukiwanie bydła, popędzanego powoli przez dosypiającego w drodze pastucha.

Wierzchołki drzew, ogarnięte już płomienistą purpurą, dziwnie odbijały od uroczystego cienia podnóży lasów. Po dojrzewających łanach przebiegały nieujęte smugi światła.

Wioski też musiały się już ocknać. Gdzieś niedługo skrzypiał zóraw. W półotwartych drzwiach chaty stanął gospodarz, boso, w narzuconej sukmanie, w rozchrzestanej koszuli; przecierał oczy, drapał się gdzieś w plecy, jakby się przeciągał i patrzył na niebo; dumał pewnie, czy pogoda przetrzyma cały dzionek.

Konie parskały.

O tej porze, bywało, matka nagotowała już śniadanie, ojciec szedł ze stodoły do izby. Będąc dzieckiem, lubiłem bosa nogi nurzać w mokrej trawie podwórka.

Kto tam teraz u nas ogień roznieca, kto strawę gotuje?

Przez myśl przemknęło mi przypuszczenie, zgrozą przejmujące: może ojciec wziął do chaty młodą gospodynię?

Nie, nie, to niepodobieństwo!

Czułem się teraz znacznie rzeświejszym. Nabrałem otuchy i śmielszym okiem spoznałem w świat i w przyszłość.

Zdało mi się, że to wioska rodzinna wita mnie świergotem skowronka, skrzypieniem zórawia, kłopotem bociana, piosnką pastucha

przypomina lata ubiegłe. Że ona aż tu wyciąga ramiona, aby uścisnąć mnie, dziecię marnotrawne!

Przypomniały mi się nasze rozmowy z kolegami i moje marzenia. Wszak we mnie płynie ta zdrowa chłopska krew, co naród ma odrodzić, w której śpi zaklęta przez wieki potęga nieśmiertelna przyszłości, świat stoi przedemną otworem i czeka na mnie.

Zaciasno mi było na wozie żydowskim. Pragnąłem ruchu, pragnąłem utonąć w zieleni lasów, dotykać ziemi-karmicielki, pierśią wciągnąć niepokalane, czyste powietrze niw. Ale pokazały się domki stacji popasowej i konie same zatrzymały się przed karczmą przydrożną. Dwadzieścia gardzieli żydowskich rozpoczęło w tej chwili szwargot niezdolny.

W miasteczku naszym stanąłem na parę godzin przed południem. Na targu nie znalazłem nikogo z wioski, musiałem dalszą drogę odbywać piechotą, chociaż po nocy, spędzonej bez snu na trzęsącym wozie, byłem bardzo znużony.

Droga wiodła koło cmentarza. Tu pochowano matkę. Zapragnąłem zająć na jej grób. Ale jak go znaleźć? Dziad, co mogiłę sypał, nie pamięta, gdzie tyle miesięcy temu pogrzebał jakąś babę wiejską. Biedakom nie wznoszą nagrobków. Zaszedłem jednak.

Z czasów mojej praktyki w zakrystyi wiedziałem, gdzie chowają patrycyat wiejski, a gdzie wiejską hołotę. Jedna z tych mogił napewno kryła szczątki matki mojej. Wśród wielu szeregów kopców nadgrobnych wznosił się jeden krzyż tylko. Dawniej, jakem tu chodził, nie było go jeszcze. Rzuciłem okiem. Czarne tło pstrzyły od samej góry aż do dołu niezgrabne białe litery: «*S. p. Maryanna Baćkiel. Bogu oddała ducha w dniu 25 Lutego 1873 roku. Zdrowaś Marya. Wystawił mąż*».

To grób mojej matki.

Znowu wpadłem w stan męczącej obojętności. Po głowie snuły mi się myśli, najbardziej odległe od miejsca, na którym stałem. Spojrzenie moje błądziło dokoła, zimne, spokojne, bez żadnego rozrzewnienia. Ale oko wracało wciąż do czarnego krzyża, który w ponurem osamotnieniu swoim, w prostszej niekształtności był prawdziwym symbolem smutku. Patrzyłem na jego wyciągnięte ramiona i wydały mi się rękami, które boleść wyprężyła i które za chwilę skurczą się, aby zakryć twarz, wykrzywioną przez boleść. Sterczał jak pustelnik wśród mogił, jak posępny strażnik cmentarny. Gdyby drzewo czuć umiało, jakie ponure myśli miałby ten krzyż!

Pień jego dotyka może wieka trumny, której ja nie widziałem wcale.

W tej chwili fala wezbranej boleści uderzyła znowu. W głowie zakolała myśl ciężka, że ja matki nie zobaczę już nigdy, nigdy!

Powlokłem się powoli dalej. Krzyż nie opuszczał mego wzroku. Rozumiałem, że on tworzy łącznik pomiędzy mną i ojcem. Tyle wiosek dokoła, tyle w nich ludzi mieszka, a on jeden uczył pamięć towarzyszkę życia, postawił ten znak, że małżeństwo śmierć przeżyło. Chociaż gdzieś w głębi czułem ból głuchy, że na drzewie czarnem niema wzmianki, iż ta kobieta miała też syna, jedynaka.

Myślałem dalej, że z całej wioski tylko mój ojciec oddał dziecko do szkół i grosza nie żałował, byle tylko to dziecko zostało kapłanem świętym. Jednak i ojca mego odróżnia coś od reszty gromady chłopskiej, a ja dotąd tego nie dostrzegłem!

W wiosce panowała cisza, jak zwykle w dzień letni. Do zachodu pozostawało jeszcze parę godzin. Gdzieniedzie dojrzałem tylko białą koszulę kobiet, siedzących w ogrodzie w bruzdach i zajętych pieleniem. Balbina—dziś już poważna gospodyni—niedaleko od naszej chałupy rozwieszała ścierki czy worki na płocie. Z za tych i z za owych wrót wyskoczył kundys czarny, zaszczekał, spełnił swoją powinność i umilkł.

Nasza chałupa wyglądała jak zwykle. Rosochata grusza stała jak za dawnych lat

na ogrodzie i rzucała przed siebie czarną plamę cieniu. Nieboszczka matka skarżyła się zawsze, iż głuszy warzywo. Topola szeleściła liśćmi i wznosiła wierzchołek wysoko po nad dach i dymnik. Gdym przeciskał się przez niedomknięte wrota, zaszumiała, widocznie radując się z mego przyścia. Na podwórku trawa porosła bujniej niż zwykle, ale też i śmieci leżało więcej niż zwykle. Psy obskoczyły mię, zaszczekały groźnie i zaraz poczęły się tulić i łasić. Dawniej były one na łańcuchach.

Na kamieniu przed domem wałało się pełno obierzyn. Skobel we drzwiach nie był włożony, chata stała otworem.

Poruszyłem klamkę drewnianą i, nie wiem czemu, serce mi biło. W sieni stały szafiki i garnki w nieładzie, a z nich wydobywał się zapach duszący. W izbie—brud i nieład. Na stole bez obrusa leżał chleb, stały miski, garnki, a w nich i nad nimi czarne roje much. Na tapczanie pościel poprzewracana, zmieszana z butami, z kozuchem.

Ojciec siedział na ławie pod oknem, w czapce, w koszuli, boso. Głowę oparł na pięści. Gdym stanął na progu, spojrzął na mnie, ale się nie ruszył.

Ująłem go za rękę i przycisnąłem ją do ust raz i drugi, gorąco, serdecznie—może po raz pierwszy w życiu. Ale ręka ta nie oka-

zała żadnego znaku życia, była zupełnie bezwładną; gdym ją puścił, upadła znowu na kolana. Ojciec ust nie otworzył, mnie też słowo żadne przez gardło nie przeszło.

Nie wiedziałem, co z sobą począć. Złożyłem mój tłómaczek w kącie i usiadłem na drugiej ławie. Ojciec pozostał w dawnej pozycji. Dostrzegłem wielką zmianę w jego twarzy. Skóra poczerniała niby niebo po zachodzie, oczy zapadły. Nie oddychał, ale sapał ciężko, czego dawniej nie było.

Począłem porządkować izbę. Usłałem tapczan, okryłem chleb kilimkiem, garnki odniosłem na komin. Ojciec nie okazał żadnego zdziwienia, ani zadowolenia, ani gniewu—jak posąg.

Wyszedłem na wieś. Stary Symeon siedział przed chałupą na kamieniu. Jak go pamiętać mogę, wyglądał zawsze tak samo. Z zapadłymi policzkami, choć rumiany, siwy, w zwyczajnym swoim letnim stroju: w krótkim spencerku i spodniach domowej roboty w czerwone i niebieskie kratki. Nie postarzał nic. Koło niego leżała też sama książka do nabożeństwa, otworzona grzbietem do góry, a na niej dobrze mi znane mosiężne okulary. Gdym wchodził, stary Symeon, twarzą zwrócony ku chlewkom, lajał kogoś głosem, nie znamionującym bynajmniej niedołęstwa i zgrzybiałości.

Ucałowałem go w ramię, a on mnie w głowę.

Był bardzo zirytowany i nie dopuściwszy mnie do słowa, zaczął opowiadać:

— To Ignac, jucha. Swiniaki przylecieli z pola, a on nie zamknął do chlewka. Podniosła ryjem żerdź i do ogrodu. Szkody może na 15 złotych. Kartofle były choć jutro podbierać.

Sapał z gniewu. Za chlewkami słychać było usiłowania Ignaca, wnuka Symeonowego, w celu zapędzenia szkodników.

— Powiedźcie panie Symeonie—zapytałem—co słychać?

— Żle! Stary strasznie tęskni po nieboszczce. Dotąd jej nie zapomniał. Gospodarstwo się marnuje, wszystkiego poniechał. Żeby nie moja Nastka... Ja ci, gałganie, kija z pleców nie będę zdejmował. Zobaczysz—krzyknął znowu na wyrostka, który zziąjany usiłował chyłkiem, przez nikogo niedostrzeżony, dostać się do izby.

— Co żeby nie Nastka? — pytałem.

— A no, żeby nie Nastka, toby z głodu zmarł; czasem mu co zanieśie, albo strawy zgotuje.

— Bóg wam zapłać Symeonie — dziękowałem rozrzewniony.

— Niema za co, niema za co. Wszystkim nam Pan Jezus przykazał pomagać bliżnim.

Teraz to czasem o bydle i koniach pomyśli. Ale dawniej, to o, jak ten kamień, gadaj do niego, nie gadaj—wszystko jedno. Musi nawet ludzi nie poznawał. Parobek odszedł, bo co miał z głodu mrzeć... Co my z nim biedy mieli. Żeb tak na innego, toby się w karczmie rozpił. On kieliszka nie traci. Strasznie pamięć nieboszki święci; ona bywało nigdy mu pić nie dawała. Święta była kobieta. Wszyscy tak gadają. Drugiej takiej jak świat nie widziałem. Stary strasznie ją miłował. Nie tknął nigdy, a co kazała, Jezus Marya, miał jak Boskie przykazanie.

Sluchałem starego Symeona, a w głowie kołowały mi myśli bolesne. Wszyscy ją poznali, ocenili, szanowali, teraz pamięć jej czczą—ci prości ludzie, a ja jeden, syn rodzony nigdy jej pociechą nie byłem. Ojciec, taki surowy, taki twardy, a jaką delikatność uczuć okazał. Jakie szlachetne węzły ich wiązały. A ja byłem zdala od tego, ja, trzeci i ostatni członek rodziny, nie zdołałem z nimi się zjednoczyć.

Zgryziony i strapiiony wróciłem do chaty. Ojca nie było, spał w stodole.

Nie zamieniliśmy z sobą ani słowa jednego. Chciałem, bardzo chciałem przyjść do niego, ująć za kolana, całować ręce, w pracy twardej zczerniałe i powiedzieć mu, że ja nie jestem odrodny, że ja rozumiem i dziele

boleść jego, że czczę pamięć matki—świętej, że go więcej nie opuszczę, że go kochać będę, że go opieką otoczę, że mu zastąpię matkę moją nieboszczkę, ale gdym spozrzał na twarz wyschlą i skamieniałą w boleści, gdy padło na mnie surowe spojrzenie starca, gdy zmroziło mnie odtrącające milczenie, płacz dławiał w gardle i słowa jednego cieplejszego wydobyć z siebie nie mogłem.

VIII.

Wziąłem się do gospodarki. Przy pomocy Nastki podawałem ojcu ciepłą strawę, ale jej tknął ledwie.

Ciężko mi było, bom grosza nie miał, i gdyby nie poczciwe sąsiadki, co masło robiły z naszego mleka, wynajdywały jajka w zielsku podwórzowem i sprzedawały na targu, byłbym nie miał za co kupić nawet okras. Wszystko było zapuszczone, a ja nic zrobić nie potrafiłem. Dowiedziałem się prztem, że ojciec część gruntu sprzedał na moją naukę.

Niedługo nadeszły żniwa. Wyruszyłem z sierpem w pole, ale zaraz na pierwszym zagonie, może wskutek zbytowego zapалу, ostrze tak silnie oparło się o moje palce, że rolę obficie krwią zrosił. Musiałem cał-

kiem roboty zaniechać, rękę obwiązać i pole zżąć przy pomocy najemników.

Poczęła mi się pokazywać odwrotna strona wszystkiego i rzeczywistość wynurzała się coraz wyraźniej z mgły dotychczasowych pojęć moich. Przekonałem się, że ja tu na nic. Mniejsza o zupełną nieumiejętność narazie, ale ja się nic nauczyć nie potrafię, bo wszystkie sprawy wiejskie w gruncie rzeczy wcale mnie nie obchodzą. Przymuszam się do roli wieśniaka, a przymusem wiele nie zaorze. Cała moja nauka zastosowania nie ma, tyle więc lat życia straconych bezowocnie. Wpływ, ów wymarzony wpływ, był po prostu złudzeniem. Ja i oni, to dwa światy, zbyt odległe, aby się do siebie pochylić zdołały. Ja nie mogę trafić do ich pojęć, oni myślą zupełnie inaczej niż ja. A że się znalazłem w ich świecie, więc z każdego sporu wychodzę zwyciężony, w każdej rozmowie oni mają ostatnie słowo.

Umiem więcej od nich astronomji i fizyki, coś kiedy tych nauk zastosować nie potrafię, nie mogę pokazać im skutków, nie jestem w stanie przynieść im korzyści. Zresztą, wielkie prawdy i prawa przyrody do tego świata przystępu nie mają, on ma prawdy własne, zdobyte z wielkim mozołem, niezbędne dla siebie i pożyteczne, ale inne niż teorie Kopernika i Newtona.

Chłopów, zasłuchanych w opowiadanie apostoła wiedzy lub w słowa głośno czytanej książki, można, zdaje się, widzieć tylko na okładkach książeczek ludowych. Przypominają ja podobnego obrazka w naturze nie napotkałem nigdy.

Pod chałupą starego Symeona w niedzielę nad wieczorem, przy ładnej pogodzie, zbierała się gromadka mężczyzn i kobiet, starszych i młodszych. Myślałem naiwnie, że z zebranych zrobię akademję. Ale wkrótce przekonałem się, że młodszy przychodzi na zabawę i na umizgi do dziewcząt i nic bardziej interesującego dla nich wynaleźć niepodobna. Starsi mają sobie wiele rzeczy z tygodnia do opowiedzenia, do uradzenia, do osądzenia.

Pomimo to udawało mi się czasem rozpocząć rozmowę oświecającą. Cóż jednak z tego, kiedy fakty geograficzne i wypadki z historyi uważali zupełnie narówni z bajkami o czarownicach i o dwunastu rozbójnikach; to znaczy, że przejmowali się rzeczą o tyle, o ile podniecała i zadawała im fantazję, od życia realnego abstrahowali to wszystko najzupełniej. Prawd przyrodniczych wytłumaczyć im nie mogłem, a zawierzyć powadze mojej nie chcieli, co, nawiasem mówiąc, niemal mnie irytowało.

Mówię im, że słońce stoi, a ziemia się rusza — uśmiechają się z niedowierzaniem. Tłómaczę — nie rozumieją.

— Przecie — powiada mi któryś z najreżolutniejszych — jak stanę przed stodołą, to się słońko z za dachu wysuwa, jakby kto latarkę podnosił. No, to się rusza.

— A może anioł pański, albo jaki święty podnosi — wtrąciła się pobożna Nastka Symeonowa.

— To wcale nie dowodzi — tłómaczę im. Bo widzicie, jak naprzykład jedziecie szybko, to się zdaje drzewa uciekają, a to wy się poruszacie.

— Ja też gadam, jak stoję za stodołą....

— Ale ziemia się porusza, jak ten wóz, na którym jedziecie.

Patrzyli na mnie, jakbym miał niespełna rozum, a stary Symeon mówi:

— Albo jak na świętego Piotra i Pawła słońce igra.

Wszyscy zwrócili ku niemu głowy.

— Jakiem był za gumienego aż za Białemstokiem — jał opowiadać — to owczarz do mnie gada (był taki stary owczarz, co zamawiać umiał): wstańcie Symeonie jutro do dnia, to wam coś pokaże? Wiadomo, w dzień świąteczny każdy lubi pospać, ale ja gadam: wstanę. Wyszlim nad staw i patrzem. A tu słońko weszło, czerwone, trochę tak powstało,

a potem jak się nie weźmie ruchać, to na łokieć skakało.

— Patrzajta! — dziwili się słuchacze, kiwając głowami.

A mój oponent pyta:

— I wy to ojciec na własne oczy widzieliście?

— Jak was tu teraz, tak mi Boże dopomóż.

Wogóle stary Symeon był niemają przeszkodą. Parę razy zdarzyło się, że mnie słuchali uważnie, mówię więc i mówię, zapalam się, a serce mi rośnie, on tymczasem ni z tego ni z owego przerywa, potrząśnie głową, machnie ręką i powiada:

— Mój kochany, natłukłem ja się nie-mało na świecie, jakim był młody i też nie-jedno widziałem.

Jakby na dym dmuchnął, nikt dalej na moje opowieści nie uważa.

Słowem, pobyt mój na wsi tracił obywatelską rację bytu.

Przytem, zachowywanie się ojca poczy-nało mnie gniewać. Ostatecznie przecie nie tak zdrożnego nie popełniłem, żeby mi marnego słowa żałować. Przez pamięć dla nie-boszczki znosiłem to przez tyle tygodni, wreszcie przez respekt synowski, ale w końcu cierpliwość moja wyczerpać się mogła.

Rozmyslałem już, nietylko rozmyślałem, marzyłem o ucieczce.

Raz przyszedłem wieczorem do stodoły. Słyszę, ojciec przewraca się po posłaniu i jęczy.

— Co wam takiego? — pytam.

Milczenie. Po chwili jęk, w którym najwyraźniej ból dźwięczy.

— Co wam takiego? — powtarzam.

Znowu cisza.

Niedługo ojciec poruszył się głośnie. Przy słabym blasku wieczornym dostrzegłem, że usiadł na posłaniu; łokieć oparł na kolanach, twarz ukrył w dłoniach. Począł mówić, a w gardle mu chrapało:

— Wołają na cmentarz, pod lipy, do niej... Odeszła, zostawiła mnie biednego, sierotę. Co ja tu pocznę sam jeden?

Zdawało mi się, że ojciec wybuchnie płaczem. Po tylu miesiącach po raz pierwszy usłyszałem głos ten. Brzmiało w nim szaleństwo jakieś bólu, żalu, rozpączy. Serce mi pękało, a jednocześnie zdjęła mnie trwoga. Cisza zalegała gumno nasze—żywej duszy nie było prócz nas. Słyszałem tylko przez ścianę miarowe żucie bydła. Cisza zalegała wieś całą—wszyscy spali. A wśród tej ciszy jakimś przytłumionem echem rozlegało się to straszne rżenie starca.

Chciałem zawołać, że ja przecie jestem, ja, syn jedyny nieboszczki naszej świętej — ale sił mi zabrakło.

Ojciec mówił dalej, teraz ciszej:

— Dał Pan Bóg dziecko, ale nie pobłogosławił—wyrodziło się. Długo czekałsiśma, prosiłsiśma Pana Jezusa i Matki Przenajświętszej.... dali, ale wzięli. Ofiarowaliśma się na świętego kapłana oddać. Przysięgliśma... ona przysięgła i ja przysięgłem. Urodził się nie na błogosławieństwo, bośma krzywoprzysięgli. I śmierć zesłał Pan Jezus, ona umarła, przez dziecko własne, co umiłowała nad siebie i nad męża; w godzinę śmierci wzywała jak imienia boskiego.

Zadrzałem na tę skargę i na tę opowieść. Pot wystąpił mi na czoło. Straszny był ten starzec nieruchomy, przemawiający grobowym głosem o mnie i do mnie, a nie do mnie.

....W nocy sen do niej przystępu nie miał przed zmartwieniem. Marniała w oczach. Ja widział, ja wiedział, że ją zgryzota gryzie. Ale ona gadać nie chciała. Ciągiem i ciągiem dumiała tylko o dziecku. Zapomniała o świecie, o sobie i o mnie, jęgo tylko miała na oczach i pamięci. Choć ja ją umiłował nad słońko i nad gwiazdy, jaby dla niej zbawienia duszy nie żałował. Dziecko!... Ojców się wyrzekło!... Matkę własną zabiło!...

Zbój!... Ja chciał przekląć, wygnać, ale ona nie kazała. Maryś moja, czy ja ciebie kiedy nie posłuchał? Czy ja ciebie zasmucił kiedy?

Nastała cisza...

Zdało mi się, że serce pierś mi rozerwie. Widziałem czarny cień, wznoszący się nad starcem — to ręka, drżąca groźbą dla syna wyrodnego.

— Oni myśleli — rozległ się znowu głos ojca, coraz cichszy — panowie, że oni ze mną skórali, że ja ich posłuchał, chcieli za dziecko moje jak Judaszowi pieniędzmi płacić. A to ona kazała. Gada: może to dla niego szczęście; niech jedzie, kara Boska nie na niego spadnie, tylko na nas. Maryś moja, czy ja ciebie kiedy nie posłuchał? Tyś zmarła ze strapienia i ja już do ciebie idę!... Idę... idę!...

Starzec upadł na posłanie, słyszałem ryk, wychodzący z jego piersi.

— Ojczy! — zawołałem, ale mnie mój własny głos zmroził, wydało mi się, że w nim brzmi jakaś nuta fałszywa, co uraga rozpaczy.

— Tatul!...

Ja nie umiałem z ojcem własnym rozmawiać!...

Zbliżyłem się, chciałem go w ręce, nogi całować, ale drżąca ręka odtrąciła mnie, jak zmore natrętą.

Wypadłem ze stodoły i wydało mi się, że powietrza zachwycić nie zdołam. Maczałem ręce w zroszonej trawie i chłodziłem głowę.

O, jaki ja wtedy byłem blizki waryactwa! Ręce zacisnęły mi się kurczowo, a ból w gardle dusił.

— Pójdę na księdza — powtarzałem — uczczę pamięć matki, osłodzę ostatnie dni nieszczęśliwego starca!

Zacząłem sam na siebie patrzeć jak na zbrodniarza, jak na zbója.

Ale znowu przychodziło mi na myśl: com ja winien, czym wiedział, czym się domyslał? I lzy mi z oczu płynąć zaczęły.

— Byłem dzieckiem i nie mogłem zrozumieć. Gdybym był przypuścił chociaż, byłbym zrobił jak chcieli; mnie nikt przecie nic nie powiedział.

To jednak nie uspokoiło mnie i głos wewnętrzny wciąż mi wyrzucał zbrodnię.

Chodziłem, biegałem prawie po podwórku. Nocny chłód mnie przejmował, drżałem, ale głowa wciąż pałała.

— Pójdę na księdza — powtarzałem wciąż, ale postanowienie to grozą już poczęło mnie przejmować. Tembardziej powtarzałem, aby sumienie zagłuszyć.

W stodole rozległ się krzyk.

Drgnąłem z przerażenia. Podbiegłem. Przez pół otwarte drzwi przeciskały się teraz promienie księżyca.

Ojciec siedział znowu na posłaniu. Patrzył na podwórko płonącymi oczyma. Machał rękoma. Z ust wyrываły mu się słowa bez związku:

— Maryś... nie zabijaj... idę!... idę!

Nie wiedziałem co począć. Wołałem: tatulu, tatulu! Rzuciłem się, wziąłem ojca za ręce, wyrwał mi je; zresztą, gdybym je był utrzymał, co miałem robić?

Oczy ojca patrzyły na mnie, ale widocznie mnie nie poznawał, może nie widział nawet.

Wybiegłem.

W chacie u starego Symeona było już ciemno. Począłem kołatać. Wieki upłynęły zaczęłem posłyszałem szelest i kroki wewnątrz. Pytano, kto kołacze i po co?

— Ojcie Symeonie—wołałem, a straszna niecierpliwość mnie paliła—chodźcie na miłość Boską, ojcu coś się stało.

Nie wyszedł Symeon, tylko mnie wpuszczono. Musiałem opowiedzieć co się stało. Wtedy dopiero rozniecono światło. Stary Symeon leżał jeszcze. Począł się dźwigać. Pomagałem mu się ubrać, boby ledwie na świt ściągnął. Robił przypuszczenia, co to być musi i co zrobić należy—brał mnie popro-

stu na katusze. Trzeba było szukać okularów, kija, czapki. Opowiadaniom końca nie było.

Boże, com ja w tej chałupie przeżył.

Nareszcie przyszliśmy. Ojciec leżał i jęczał.

— Zostańcie tu—prosiłem—a ja polecę po doktora.

— A przywieź zara księdza z ostatnimi sakramentami.

Koni nie miał kto poprowadzić na pastwisko, więc były w domu. Założyłem je w jednym mgnieniu oka. Puściłem się jak wichra, ale musiałem zwolnić, boby mi wozu na całą drogę nie starczyło. Gdy mijał pierwsze domki miasta, kury ogłaszały północ.

Doktor już spał. Żadne próśby moje nie pomogły, służąca powtarzała, że pan bardzo zmęczony i że przed 6-tą nie wyjedzie.

Księdza dyżurnego też nie było; wyjechał—jak mnie dziad kościelny objaśnił—o milę z Panem Bogiem, wróci może na 2-gą.

Postawiłem konie pod austeryą. Rozbudziłem żyda i dostałem od niego siana na paszę i słomy na siedzenie, bom w pośpiechu gołemi drabinami wyruszył.

Właziłem na wóz i zlażiłem zeń, kładłem się na słomie, rozmawiałem z końmi. Biłem się rękami w ramiona, jak gdybym potrzebował rozgrzania.

Sześć godzin miałem czekać. Sześć godzin, a każda minuta przewleka się w nieskończoność. Widziałem ojca z temi gorejącemi oczyma, słyszałem jęk jego, który mi się wydawał chrapaniem konania.

Kościół był tuż, na wieży zegar bił godziny i kwadranse. Próbowałem liczyć wciąż do sześćdziesięciu, aby prędzej spychać minuty, ale się przekonał, że to nie przyspiesza skazówek zegara.

Nareszcie mogłem już rozróżnić w domach ganki i okna. Daleko za rzeką zabieliła się mgła.

Zegar uderzył czwartą. Kury znowu piałły. Słońce jeszcze nie rozproszyło mroku, gdy się poczęły rozlegać szmery. Słysząc było roztwieranie drzwi. Ktoś niewidzialny kaszlał. Stukały kroki czyjeś, to rybak szedł z wiosłem na rzekę. Przed dom niedaleko austeryi zajechała pakowna bryka we trzy konie. Poczęto wynosić tłumoki. Wgramoliła się jakaś jejmość i z nią dwu chłopców. Przyszedł jeszcze jeden chłopiec z za kościoła, za nim służąca przyniosła tłumoczek. Wiodocznie uczniowie do szkół.

Wybiła piąta.

Jeszcze godzina. Co się tam dzieje? Żeby prędzej, żeby prędzej! Szczekałem zębami jak w febrze, dreptałem na miejscu, bo ustać nie mogłem.

Nareszcie rozległ się dźwięk sygnaturki — już wpół do szóstej.

Teraz dopiero wraca bryczka z księdzem od chorego.

Przystępuję i proszę, żeby zechciał jechać z doktorem o 6-ej.

— A no dobrze — odpowiada — zajedź pan wprzód do doktora, bo ja z Panem Bogiem czekać nie mogę.

Zajechałem przed doktora. Prawdopodobnie czekałem nań niedługo, a mnie się wydawało, że lata. Kręciłem się na wozie, połamłem biczysko.

Wyszedł doktor. Wytlómaczyłem mu, że musimy zajechać po księdza.

Ksiądz wysłał chłopca z przeproszeniem, że musi się przebrać.

Nareszcie ruszyliśmy. Koło mnie siedział dziad i dzwonił.

Kiedyśmy zajechali przed chałupę, koło drzwi stała spora gromadka ludzi. Poklekali przed księdzem.

Zapominając o pierwszeństwie dla olejów świętych, wpadłem do izby.

Ojciec leżał na tapczanie na środku. Baby go ubierały. U głowy płonęły dwie gromnice.

Już odszedł do Marysi swojej!....

Na poczerniałej twarzy skóra zapadła jeszcze bardziej. Oczy patrzyły wciąż, tylko blask zagaśł.

Moje oczy musiały stać się do nich podobne. Osunąłem się na ławę. Widziałem krzątanię, widziałem jak ksiądz trupa olejami nacierał, ale to wszystko ślizgało się tylko po żrenicach moich, jak obrazy po szybie matowej.

Gdy ksiądz skończył obrzęd ostatniego namaszczenia, począł z doktorem rozmawiać na stronie i zaraz wyszli z izby. Przystąpił do mnie stary Symeon:

— Proś, a trzeba księdza i doktora odwieźć.

Musiałem zebrać myśli, aby zrozumieć. Wyszedłem przed sień.

— Zaraz panów odwiozę—przemówilem.

Doktor zbliżył się do mnie, ujął dłoń moją w obie ręce, uściskał serdecznie i powiedział:

— Nie kłopotz się pan, myśmy znaleźli już sobie woźnicę, co nas pańskimi końmi odwiezie.

Przypomniałem sobie, że doktorowi trzeba zapłacić, usiłowałem wcisnąć mu do ręki rublowy papierek, ale nie chciał wziąć.

Nazajutrz rano zakopali ojca na cmentarzu, ale nie obok matki, bo ją już dokoła otaczały trumny obcych i nieznanych ludzi.

Nie miałem ani sił, ani ochoty siedzieć dłużej na wsi. Dla życia potrzebowałem uciec ztąd. Tu mnie wszystko dławilo, drażniło,

gryzło. Była chwila, że chciałem wyjechać tą samą drogą, com przyjechał, wziąć ten sam tłomoczek do ręki i siaść w miasteczku na wóz żydowski.

Wszystko, com posiadał teraz, ziemia i inwentarz, było pracą ojców; korzystanie z tego uważałbym za świętokradztwo. Ale trzeba było coś postanowić z chudobą. Krowę podarowałem Nastce Symeonowej, kury i prosięta sąsiadkom innym. Resztę sprzedałem.

Na mogile ojca postawiłem takiż sam krzyż czarny i z takim białym napisem, jaki stał na mogile matki.

Chatę zaryglowałem i poszedłem w świat.



265208